

TYGODNIK ILLUSTROWANY



PORTRET hr. FRANCISZKOWEJ
Z RADZIWIŁŁÓW POTOCKIEJ

TEODOR AXENTOWICZ
(Z wystawy „Sztuka” w Krakowie)

ANTONI POTOCKI:

Przesąd treści i formy.

Gdyby utwory sztuki jawiły się nam zawsze jako zupełne arcydzieła, nie powstałyby prawdopodobnie nigdy śmieszna kontrowersja formy a treści.

Wątpię, czy znajdzie się człowiek tak słabej duszy, któryby nie czuł zupełnej, nierozzerwalnej jedności formy i treści wobec „Wenus z Milo”, „Zwycięstwa z Samotraki”, „Giocondy”.

Rzecz szczególna! Nikt z żyjących nie dorysuje w najidealniejszym nawet zarysie ramion bogini ni głowy skrzydlatemu posągowi zwycięstwa.

I mimo to — bez ramion jedna jest wcielonem bez zmyślenia pięknem niewieściem, a Nike—bez głowy—zwycięża! Zrąbany jakimś ciosem złom marmuru nie uronił nic z boskości swojej. Potężny poryw twórcy, który go ongi powołał do życia, porywa nas i niesie w rozkosz zachwycenia—tak się tam „forma” w „treści” wyraziła!

Gdzie treść i forma dadzą się rozłupać w „Sonetach krymskich”? w „Cztyrdahu” proszę oto skreślić jedną literę tylko, nie już wyraz: „Aa!”...—przez ranę w sonecie otwartą spłynie cała moc jego.

Zrąbać posągowi ramiona lub głowę i posągu nie zabić, sonetowi odjąć jedną tylko literę i zabić sonet—są to dwa wzajem wykluczające się napozór krańce tego samego przejawu: jedności formy i treści w sztuce.

Ze oto doskonałość, nieśmiertelność dzieła tkwi za każdym razem w organicznym ścisłym połączeniu jego pierwiastków, i nigdy schemat rozgraniczeń formy od treści nie utrafi w ich tajemnicę.

Skąd jednak powstała owa kontrowersja, bardzo nam znajoma w tej sprawie?

Powstała, jak wszystkie schematyzmy, z beznadziejnej niedoskonałości ludzkiej, nie umiejącej w niczem i nigdy uszanować samego cudu Życia, lecz z dziecinną bezmyślnością przy pomocy strychnulca analizy i pod pretekstem badania dążącej do—martwoty.

To tak przyjemnie zobaczyć, co było „w środku” pięknie śpiewającego ptaszka! Jest to rodzaj rytualnego mordy, który tak zwany rozum popełnia nad dziełem sztuki.

Gdzieś przecie schronić się muszą strzygi, powyganiane ze świątyni myśli: owe poszukiwania rzeczy samej w sobie, owe wydłubywania numenu z fenomenu i t. p. Homunkulus nad czemś musi doświadczać swej impotencji. Stara się więc rozwikłać i objawiać tryumfująco, co jest „w środku”

dzieła stworzenia i czyni to, przesmykując się naturalnie próżnią, którą znajduje między „formą” a „treścią”. Jeszczeby też Homunkulus próżni nie znalazł!

Zamykam oczy i słucham: słuchałem Pergolese’a, a jedyną treścią tej przeczystej żaloby jest oto ta wilgoć na powiece. Lecz łąza wysycha rychło, a Pergolese trwa wiecznie. Zdumiewająca, nieprawdaż, kontrowersja treści a formy?

Stendhal opowiada, że pewnego razu, a był zakochany, zauważył, że muzyka potęgowała w nim ogromnie—miłość; ale, że był człowiekiem bystrego spostrzegania, przypomniał sobie wnet, że ta sama muzyka na jakiś czas przedtem w Neapolu równie silnie potęgowała w nim—nienawiść, a było to wtedy, kiedy rozważał środki niszczycielskie na gnębiących Grecyę Turków.

I tak zawsze: kto umie czuć i czucia swe pamięta, ten przypomni, ile to „treści” przeróżnych „niosły mu te same ukochane formy”—lub jak ta sama treść wiekuista błyskała mu promienną twarzą z coraz to innej formy.

Ale trzeba umieć czuć uczciwie i czucia swe uczciwie pamiętać.



Z antologii przekładów

MARYA KONOPNICKA:

KONIEC STRAJKU.

ADA NEGRI.

Spojrzeni sobie w twarze. Tłum znędzniały,
blady

Od głodu i niespania, a od troski—niemy,
Dosyć mają tej walki. Aż jeden z gromady
Odezwał się nieśmiało:—„Kiedyż koniec?...
Mrzemy!”

A drugi:—„Mnie dzieciśka płaczą w izbie
z głodu...”

A inny:—„Moja leży w szpitalu...”—A jeszcze
Inny—jęknął, a przez pierś narodu
Mroźny przeleciał wicher i lodowe dreszcze.

Ale z płomieniem w oku wyszedł nagle
z kupy

Młody robotnik:—„Nigdy! trwajmy do ostatka!
Aż sprawiedliwość będzie! Żywi—albo trupy!
I my ludzie! I nas też porodziła matka!”

I znów spojrzeli w twarze. Tłum wyschły
i blady

Od głodu i niespania, a od męki—niemy.
A nad ciszą śmiertelną milczącej gromady
Jedna myśl drżała:—Kiedyż koniec? Mrzemy?

I wzniosli w swych łachmanach, w głodu
majestacie,
Hamując w piersiach łkanie wstydu, troski,
biedy,

Surowe, zropaczone, widmowe postacie
Znowu u swych warsztatów stanęły. Do kiedy?

BRONISŁAWA OSTROWSKA:

OBLĄKANA.

SULLY PRUDHOMME.

Błądząc, wiejskich się dzieci pyta we łzach
cała

O kwiat, który widziała przed laty w Germanii:
Nikły, wąty, wykwitły nad brzegiem otchłani,
O zapachu, jak spowiedź miłości nieśmiała.

Od powrotu z tej drogi czar na biedną działa:
Ciągła żalność wspomnienia duszę jej tumani...
Snadź zaklętą, tajemną jakąś moc miał dla
niej

Ów kwiat, który w Germanii przed laty
widziała.

Mówi, że czuła niebios promieniste dziwy,
Całując jego drobne, roztulone płatki,
Że w woni żył duch jakiś czysty i szczęśliwy.

Różni dla niej po górach za tym kwiatem
gonią,

Ale Germania wielka, a ten kwiat jest rzadki...
A ona mrze powoli z tęsknoty za wonią...

BOLESŁAW PRUS:

Sprawa chełmska.

KRONIKA TYGODNIOWA.

„Sprawą chełmską” nazywam projekt rządowy: oddzielenia pewnej części Królestwa Polskiego i, pod tytułem gubernii chełmskiej, przyłączenia jej do generał-gubernatorstwa kijowskiego. Część ta ma obejmować 85 gmin całych, 22 częściowe, 11 miast i 29 osad, wchodzących do składu gmin; ogólna zaś ludność nowej gubernii ma liczyć 932,000 osób,

Jaki cel zakłada sobie podobna operacja, która, obok niemałych kosztów pieniężnych, wywołać musi powikłania administracyjne, sądowe, militarne, ekonomiczne, towarzyskie i moralne, nie mówiąc o politycznych, gdyż te, o ile się zdaje, nie grożą i nie zagrażają. Jaki cel?...

Na pytanie to odpowiada profesor Askenazy w *Bibliotece Warszawskiej* (luty r. b.) artykułem: „Gubernia Chełmska”. Według niego sprawę dokonania operacji na Królestwie Polskiem pierwszy poruszył w r. 1865 ks. Czerkasskij „celem przeciwdziałania spolszczeniu zamieszkującej tam ludności rosyjskiej”, lecz projektowi temu oparł się ówczesny minister hr. Milutyn i namiestnik hr. Berg. W r. 1875 po zniesieniu unii w Królestwie i „dla doszczętnego zgładzenia wszelkich śladów tejże unii” projekt wydzielenia gub. chełmskiej powtórzono ze strony „miejscowych żywiołów administracyjno - cerkiewnych”; lecz wówczas przeciw operacji oświadczył się sam „Komitet do spraw Królestwa Polskiego” pod osobistym przewodnictwem cesarza Aleksandra II. W roku 1889 sprawę chełmską wskrzesił arcybiskup prawosławny Leoncyusz, a to w celu zaprowadzenia w „Chełmszczyźnie” kalendarza juliańskiego zamiast gregoryańskiego. Arcybiskupa mocno poparł Pobiedonoscew, ale zaoponował mu feldmarszałek Hurko, za aprobatą cesarza Aleksandra III.

Może już koniec?... Jeszcze nie. Bo oto w r. 1895 z projektem wyłączenia gubernii chełmskiej wystąpił nowy generał-gubernator, hr. Szuwałow, poprzednio wieloletni i w Berlinie ceniony ambasador rosyjski. Tym razem projekt opracował działacz rusińsko-galicyjski, niejaki Dobrjańskij. Niebawem jednak hr. Szuwałowa zastąpił ks. Imeretyński, który „przeciw referatowi Dobrjańskiego zaoponował stanowczo, nawet wbrew opinii Pobiedonoscewa. Zaś w r. 1893 wysunął ideę chełmską gubernator lubelski, Tchorzewskij, wskazując na obcięcie Królestwa, jako na jedyny środek „zabezpieczenia bezbronnego prawosławia od gnębiącej je przemocy polsko-katolickiej”, lecz temu mężowi stanu, przeciwstawił się generał-gubernator Czertkow.

Pomimo to utworzono w Petersburgu specjalną naradę, pod przewodnictwem Pobiedonoscewa na której, skutkiem energicznej opozycji ministrów Wittego i Sipiagina, popartej większością głosów, projekt znowu upadł i nawet spowodował następujący wniosek: „Utworzenie gubernii chełmskiej, bez zastosowania do jej ludności rze-

czywistych środków zruszczenia, nie osiągnęłyby wytkniętego celu. A ponieważ zastosowanie tychże środków, przy położeniu tegoczesnem, okazuje się niemożliwem, zatem i utworzenie z Zabuża rosyjskiego oddzielnej gubernii chełmskiej miejsca mieć nie może”. Uchwała ta zapadła w roku 1902.

Lecz, bez względu na to, już w r. 1905 prawosławny biskup lubelski Eulogiusz rozpoczął zbieranie skarg i zażaleń od ludności rosyjskiej w Chełmszczyźnie, aby udowodnić krzywdy, wyrządzone tej ludności i prawosławiu przez miejscowe żywioły polsko-katolickie na mocy manifestu tolerancyjnego. Wprawdzie ówczesny generał-gubernator, Maksymowicz, zażalenia te nazwał wprost „kłamliwemi”, wprawdzie i wysłane w r. 1906 zażalenia z powiatu hrubieszowskiego również okazały się nierzetelnymi, tym jednak razem sprawę chełmską wziął do serca minister Durnowo i, wbrew opinii generał-gubernatora Skałona, popchnął ją dalej. Poparcie jego było tak skuteczne, że w końcu roku 1903 Rada ministrów poleciła: „wypracować projekt nowej jednostki administracyjnej, wiążąc to zarządzenie z wprowadzeniem do Królestwa Polskiego samorządu ziemskiego i miejskiego”. Projekt ten, „po zaakceptowaniu go przez Radę ministrów, prze-

znaczony jest do wniesienia w czasie najbliższym pod rozpoznanie i sankcję Dumy państwowej”.

Oto treść artykułu profesora Askenazego o „Gubernii Chełmskiej”, zakończona uwagą następującą: „Jest rzeczą bynajmniej nie wyłączoną, że trudy w tej sprawie Pobiedonoscewa mogłyby kiedyś okazać się mimowolną robotą *pour le roi de Prusse*. I stałoby się mogło, iż na gruncie, przygotowanym przez tę robotę, przysposobioneby zostało dokonanie w przyszłości ostatecznego rozpadnięcia, podziału i zagłady Królestwa Polskiego”. Albowiem „pokrewne racje religijno-etnograficzne mogłyby kiedyś wpłynąć na dobro ludności rdzennie protestanckiej i niemieckiej w guberniach piotrkowskiej i kaliskiej, a tem samem wybić godzinę niezapomnianej granicy Knesebeckowskiej”.

No, ale może Prusacy nie mieliby tych tytułów, co „prawdziwi Rosyanie”, ze względu, że w guberniach piotrkowskiej, kaliskiej i t. d. Niemcy i protestanci wobec Polaków i katolików stanowią mniejszość?...

Podobnymi drobiazgami nie krępuje się polityka nacyonalistyczna. Bo przecież i w projektowanej gubernii chełmskiej ludność prawosławna wcale nie stanowi większości. Świeżo p. Stefan Dziewulski za pomocą bardzo drobiazgowych obliczeń dowiódł („Statystyka ludności gubernii lubelskiej i siedleckiej i t. d.”), że— „na terytorium projektowanej gubernii chełmskiej katolicy stanowiliby 51,64 procentów ogółu ludności, t. j. *więcej niż połowę*, zaś prawosławni tworzyliby zaledwie 30,64 proc., czyli *mniej niż trzecią część ogółu ludności*”. A zatem istnienie mniej niż trzeciej części niekatolików wystarcza do poświęcenia *więcej niż połowy katolików*.

Czy może, przy dzisiejszych stosunkach, potrzeby duchowe ludności prawosławnej nie są należycie zaspokajane? Na to odpowiadają cyfry, przytoczone przez prof. Askenazego, z których pokazuje się, że np. w sześciu powiatach wschodnich gubernii lubelskiej, w stosunku do ludności, prawosławni mają *trzy razy więcej kapłanów i sześć razy więcej świątyni*, aniżeli katolicy; nadto zaś dochód roczny kapłana prawosławnego jest *dziesięć razy większy* od dochodu kapłana katolickiego.

Więc może katolicy prześladowają, szykanują prawosławnych?... Proszę, niechby spróbowali robić to, wobec policyi, żandarmeryi, sądów, duchowieństwa, pisarzy i nauczycieli prawosławnych i wobec jak największej łatwości uwięzienia, a nawet wygnania z kraju osób niebezpiecznych. Wprawdzie skarżono się na prześladowanie przez katolików, lecz niestety! żale te sama władza miejscowa uznawała za fałszywe.

Jest to odpowiedź historyczna i faktyczna na wykrzykniki pewnych naszych organów wolnomyślnych, że: po ogłoszeniu ukazu o tolerancyi— „apostołowie-rybacy (katolicy) rozpostarli głęboko sieci (między ludnością prawosławną) dla wyłowienia jak największej dusz Kościołowi”...

Na ten pogląd „liberalny” przykre światło rzucają „Wspomnienia” senatora Koniego, ogłoszone w *Russkoj*



SZKIC DO OBRAZU „POGRZEB NA RUSI”
Z wystawy „Sztuka” w Krakowie.

T AXENTOWICZ

Starynie, streszczone w *Kuryerze Warszawskim*. Autor, naoczny świadek „dobrowolnego nawracania się unitów”, pisze wprost, że—kampanię unicką, wbrew nowym sądom w Królestwie, a nawet wbrew władzom centralnym w Petersburgu, rozpoczął i prowadził od roku 1875 gubernator siedlecki, Gromeka, i jego następcy. Posługiwano się przytem karami pieniężnymi, cielesnymi, więzieniem i zsyłką opornych.

A oto wyjątek ze „Wspomnień” niewątpliwego rosyjskiego patrioty, senatora Koniego: „Bywało tak, że proboszcz prawosławny, udając się jakoby do konającego, pod pozorem ochrony prosił o przydanie sobie asysty z żołnierzy, poczem, korzystając z tej eskorty, obchodził całą wieś i chrzczył według obrządku prawosławnego wszystkie dzieci byłych unitów”.

Czy katolicycy „apostołowie-rybacy” mieli w rękach podobne środki? A jakże—mieli: „medaliki i szkaplerze”, gęsto wysyłane jakoby z Warszawy.

Wobec zestawienia karabinów z medalikami doprawdy niewiadomo, czy śmiać się z naszego „liberalizmu”, czy płakać. „Dobrowolnie nawróceni” Buryaci cofają się dziś do swej pogańskiej religii, ponieważ ją lepiej rozumieją i lepiej odczuwają; żaden zaś Rosyanin postępowy nie dziwi się temu cofnięciu, i dopiero warszawski postęp dziwi się nieszczęśnikom, którzy w katolickich obrządkach znajdują dla swych dusz więcej ukojenia i nadziei, aniżeli w jakimkolwiek innym systemie religijnym.

Doskonale rozumiem, co to jest tolerancja religijna, rozumiem gniewy postępowców za przechowywanie starozakonnej historyczki w zakładzie katolickim. Lecz, jeżeli nawet ateusze żądają swobody dla swych wierzeń, ba! dla propagandy, to z jakiejże racji przywiązanie i powracanie do katolicyzmu miałyby się stać u nas niebezpieczeństwem narodowym i wojną z prawosławiem?

Mnie się zdaje, że zarówno projekt odłączenia „Chełmszczyzny”, jak i cała polityka „prawdziwych Rosyan”, ma źródło swoje nie tyle w katolickim „duszolapstwie”, ile w dawnej maksymie, którą jeszcze ś. p. Machiavel sformułował: „Jeżeli państwo zdobyte przywykło do własnych praw i wolności, mamy trzy sposoby zachowania go dla siebie. Pierwszy polega na zrujnowaniu go, drugi na zamieszkaniu wśród niego, trzeci—na pozostawieniu mu jego praw, pod warunkiem, że będzie płaciło kontrybucję”. Otóż Prusacy stosują do Polaków dwa pierwsze prawidła: chcą zrujnować ich umysłowo i ekonomicznie i zalać swoimi kolonistami; prawdziwi zaś Rosyanie naśladują Prusaków i będą tak robili dopóty, dopóki siła wypadków nie skłoni Rosyi do wejścia na nowe drogi, odpowiadające jej interesom, nie pruskim.

Profesor Askenazy, wreszcie cały nasz ogół, uważa „odłączenie gubernii chełmskiej” za wielką katastrofę narodową. Ja, może niesłusznie, spokojnie zapatruję się na te rzeczy. Wszelkie oddzielania i przyłączania terytoriów w granicach tego samego państwa wyglądają na przesuwanie mebli w tym samym domu i przypomina zakończenie bajki Kryłowa: „*Kak ni saditieś, wsio w muzykanty nie gaditieś...*”. Pewnym jest tylko jeden skutek, że: w zoperowanych okolicach temperatura katolicyzmu i polonizmu wzniesie się o kilka stopni.



SZKIC (z wystawy „Sztuka” w Krakowie)

T. AXENTOWICZ

A my tymczasem, oczekując niezawodnie lepszej przyszłości, starajmy się ulepszać siebie samych i nasze stosunki i pamiętajmy, że w całej naturze nie katastrofy, ale powolna i drobniągowa praca—tworzy postęp i życie.

Jeżeli Pan Bóg tak nas podgrzewa, kuje, piłuje i hartuje, że nam krwawe łzy płyną, to przecież nie robi tego napróżno, musi mieć jakieś dalsze zamiary.

Z pracowni Axentowicza.

W pracowni profesora Axentowicza znajduje się zawsze nie tylko ogromny, powszechnie już u nas i w Europie uznany talent, nie tylko grzmiąca sława, ale także i niestrudzona praca, którą znakomity ten artysta ciągle na nowo zdobywa tyle już razy zdobyty wysoki i zaszczytny posterunek w naszej sztuce.

Niespodzianek w pracowni mistrza portretu kobiecego nie znajduje się najczęściej żadnych. Zbyt silną i ustaloną jest on indywidualnością artystyczną, aby mógł sprawiać niespodzianki. Natomiast, ilekroć przestąpi się próg tej sali, zawałonej literalnie płótnami i kartonami, ulega się mimowolnie temu uczuciu głębokiego szacunku i oddania dla sztuki, którem przejęty jest zawsze Axentowicz.

Kiedy, skorzystawszy z jego zaproszenia, odwiedziłem go w jego pracowni i kiedy otrzymałem pozwolenie na odwracanie kartonów, poprzystawianych stosami literalnie do ścian, uderzyła mnie ta jednolitość przekroju organizacji artystycznej Axentowicza, którą cechuje głębokie poczucie posłannictwa artysty, budzące się w nim w chwili, kiedy z kredką czy pendzlem stanie przed stalugą. Ta niezwykła równość w natężeniu pracy i inspiracji, ta tożsamość wysokich zadań, jakie sobie artysta stawia przy każdym swoim, chociażby najskromniejszym dziele, sprawia, że w pracowni jego niema nigdzie dowodów słabych chwil arty-

stycznych w postaci jakichś rzeczy tak zwanych „od niechcenia”.

U Axentowicza, przeciwnie, wszystkie rzeczy bez względu na stadium wykonania, w którym się znajdują, noszą na sobie stale piętno skupienia trwałego i silnego „chcenia” i tej twórczej woli, która nie pozwala mu ani na chwilę zejść niżej poziomu, już raz osiągniętego, która nie dopuszcza, aby z pod jego pendzla wychodziły nowe rzeczy, nie wytrzymujące porównania z dawnymi. Zawsze ten sam, zawsze poważnie każdy swój ruch ręką na płótnie czy kartonie traktujący, zawsze uparcie do doskonałości dążący i raz już zdobytą cześć jej silnie utrzymujący—taki jest Axentowicz na tle nie tej lub owej wystawy, gdzie artysta daje z dobrego najlepsze, ale na tle swej pracowni, gdzie gromadzi się wszystko, cokolwiek wyszło z jaźni jego w tajemniczym procesie tworzenia i stawania się.

Na stalugach wiszą trzy portrety „żywieckie”. Dwa konterfekty arcyksiężniczki Renaty—młodej pani Radziwiłłowej, i prześlizgnięty portret ojca jej, arcyksięcia Stefana, którą córcie ofiarował artysta w upominku ślubnym. Arcyksiężę przedstawiony tu jest nie w zwyczajnej postaci portretowej, która u osobistości w jego położeniu jest już dostatecznie banalną, ale przeciwnie, w postaci dość niezwykłej, chociażby najmniej nie niewłaściwej dla niego. Oto siedzi on przed nami, jako marzycielski miłośnik muzyki i Chopina,

gdy o wieczornej godzinie rozmawia sobie cicho z fortepianem... Portret ten to jedno z arcydzieł Axentowicza. Ten sentyment niesłychanie szczerzy i logicznie w każdym szczególe obrazu uwydatniony, ta brawurowa technika pastelowa, która tak znakomicie wydobywa cichy nastrój portretu ojca, przepyszenie użyty światłocien, w którym bryła głowy i całej półfigury rysuje się tak wyborne i tak dobrze zatracza nadmiar szczegółów twarzy i rąk, który psułby wrażenie serdeczności, jakie obraz budzi—wszystko to składa się razem na twór, godny, aby go zaliczyć do najlepszych dzieł Axentowicza.

Portret arcyksiężniczki Renaty, również przy fortepianie i w analogicznych warunkach świetlnych, odznacza się temi samymi zaletami, co portret jej ojca, posiada przytem te wszystkie specjalności Axentowicza w malowaniu twarzy kobiecej, które zbyt już są znane i uznane, aby je tu warto było nanowo wykazywać.

Obok na ogromnej staludze portret ks. Franciszkowej z Radziwiłłów Potockiej skupia w sobie jakby w soczewce wszystkie cenne właściwości techniki i artyzmu Axentowicza. Więc przedewszystkiem całość, jako harmonia barw tak subtelna i pełna smaku, perłowe tło obrazu, z różowością wspaniałej sukni taką misterną gradacją barw połączone, że przypominają się najsubtelniejsze majstersztyki japońskie w dziedzinie t. zw. „symfonii” barw. Głowa o bardzo szlachetnej i delikatnej modelacyi, przepyszna karnacja, czuć niemal świeżość, miękkość i ciepło twarzy. Charakterystyka bogata i przekonująca. A dziecko, to „bobo” u kolan matki, to już całe arcydziełko.

W akademickiej pracowni Axentowicza na placu Matejki bije rzeczywiście źródło obfite bogatej twórczości, ujętej w karby niestrudzonej, świadomej celu i wysoką kulturą przejętej pracy. Sama bezpośrednia bliskość takiego źródła musi na młodych adeptów sztuki oddziaływać ożywiająco i podniecająco.



IDYLLA GRECKA (Z wystawy „Pracowni” w T. Z. S. P.)

ANTONI PIOTROWSKI

SŁÓWKO O WIOŚNIE

FELIETONIK SEZONOWY.

Już z pod śniegu kwiecie pierwsze
 Błysło: fiołki i pierwiosnki...
 Myśl się sama składa w wiersze,
 Serce dzwoni taktem piosnki...

Kwiat i dziewczę, pieśń i miłość,
 Nuta tęskna i radosna,—
 A rozwiąże tę zawilgość
 Jeden cudny wyraz: Wiosna...

Wiosna, na którą tak długo czekaliśmy, zmęczeni mrozem, zawieją śnieżną, smutkiem szarych, bezsłonecznych dni, melancholią nieskończonych wieczorów. Wiosna z pękiem kwiecistym nowych złudzeń, nowych czarów i uniesień, po których znów kiedyś przyjdą gorycze, zwątpienia, jesień i zima.

Ale tymczasem z promieniem złotego słońca, z modrością niebios, z powiewem od pól i łąk zarzecznych, niosącym ożywczą woń, tchnienie wiosniane, niech zawita w stroskane serca radość życia, świeża siła, otucha i wiara, że w końcu musi przyjść zbudzenie ludzkiego ducha, jak przychodzi zbudzenie przyrody.

Że się skończy czas ponury
 Trwania złości i obłudy,
 Wstanie zorza z poza chmury,
 I do pracy wstaną ludy.

W jasną przyszłość zapatrzone,
 Trosk i cierpień ujrzą metę,
 Ach, i wtedy uczczą one
 Słońce ludzkich serc: kobietę.

Bo w tej przyszłości świetlanej, co po tylu zawodach i bólach udrczonej rzeszy człowieczej zabłyśnie nareszcie, niewątpliwie kobieta większą i podnioślejszą, niż dzisiaj, odgrywać będzie rolę. Miękość, subtelność, dobroć natury niewieściej wpłyną na uszlachetnienie stosunków ludzkich, wypolerują barbarzyńskie do najnowszych czasów

obyczaje, wniosą i na plan pierwszy postawią w każdym domu pierwiastek uczuciowy, upoetyzują życie, nie w banalnym, sentymentalnym znaczeniu, ale w treści prawdziwej, istotnej, głębokiej poezji bytu. Mam to przekonanie, że w przyszłych społeczeństwach kobieta wyższe od męczyzny mieć będzie stanowisko, oczywiście, kobieta innego pokroju, aniżeli przeciętny typ dzisiejszy, rozflirtowany, lalkowaty, albo też, przeciwnie, zbzikowany i do absurdu doprowadzający pojęcie postępu i wyzwolenia niewiasty.

Ale, nim nadejdą te czasy, dalekie jeszcze zresztą, ludzie po dawnemu romansują i marzą, a kobieta bywa wprawdzie czasem „szatanem” i „demonem”, lecz znacznie częściej, ku wiosnie zwłaszcza, „białym aniołem”, „złotym snem” i „świętą”.

Już poeci ostrzą pióra,
 Apollina tkliwie syny,
 Wnet się sygnie cała fura
 Poetyckiej zieleniny.

Rond, sonetów, tryoletów
 Wzjeżdżą róże i lilijki,
 Bowiem sezon to poetów,
 Czas rymowej nowalijki.

A wiosna sypie swoje perły stokroć piękniejsze od tych, wątpliwej nieraz autentyczności pereł rymotwórczego natchnienia. Oto rozweseli-



ło się miasto posępne, znikły z ulic góry śniegowe, złotem słonecznym błysnęły dachy i ściany domów.

Na rogach tu i owdzie stanie wymizerowana kobiecina z bukietkami konwalii i fijołków. Coraz mniej widać futer, coraz więcej jasnych, świeżych okryć i sukien. Wywlekli się z ciepła ogrzanych mieszkań schorowani starcy i pomaleńku, opatuleni, jak mumie, idą, suwają się raczej, wyżółkli, pomarszczeni, a jednak rozradowani, że jeszcze raz Bóg im pozwolił zobaczyć wracającą wiosnę.

W ubogich dzielnicach Warszawy, na Powiślu, za wolskimi rogatkami na krańcach miasta, z suteryn wilgotnych i ciemnych, z wysokich mroźnych poddaszy tłumnie wyległy dzieci o kabłąkowatych nóżkach, o zapadłych piersiach, zgiętych, jakby od pracy ciężkiej, grzbietach, o przerażająco martwych oczach w opłatkowo białych twarzyczkach i cieszą się z blasku wiosennego słońca, z jego ciepłych promieni, z świegotu wróble, z zeszłorocznej brudno-zielonej trawy, co wyjrzała z pod roztopionego śniegu.

A chłopcy z gazetami pędzą po ulicach gwarnych i ożywionych i krzyczą: „Wojna! wojna!” Tłum kupuje mokre jeszcze płachty papieru i wczytuje się chciwie w sensacyjne nowiny. Niech jeno mocniej przygrzeje słońce, niech jeno wiosna ugruntuje swe panowanie na świecie, a dwie armie liczne, uzbrojone, armie z samych młodych, pełnych życia ludzi runą na siebie, jak dwie rozżarte, wrogie, nienawidzące się wzajemnie bestye.

Wiosno! wiosno! a tam matki!
 Tam ojcowie, żony, dzieci!
 W polu kwitną barwne kwiatki
 Ptaki nuca, słońce świeci...

Ptaki nuca, świeci słońce,
 Gra ryk armat ponad łąny,
 I na ciała konające
 Pada słodki czar wiosniany...

HENRYK MOŚCICKI.

Pamiętnik Daniłowskiego.*)

Dzieje rewolucji styczniowej, poza całym ich tragizmem, hekatombą tysięcy i tysięcy zagładą, mają dla dzisiejszego pokolenia znaczenie zupełnie wyjątkowe. Niefortunny obrót działań powstańczych wpłynął nie tylko na zasadniczą zmianę warunków narodowego bytu i rozwoju, na przeobrażenie norm prawno-politycznych, lecz do głębi wstrząsnął psychiką społeczeństwa, zawisł fatalnie nad duchowym życiem narodu. Epokę rozbiorów zamyka Dzień majowy i rok 1794-ty, starczące za program społeczny i polityczny Legionów i Królestwa



WŁADYSŁAW DANIŁOWSKI.

Kongresowego; z listopadowych pobojuwisk ulata wielka poezja wieszczka, zwiastująca Odkupienie; styczniowa nawałnica zdrada rezygnację i wątpli wiare narodową. Rzucone Polsce wyzwanie „precz z marzeniami” podjęli najgorętsi właśnie marzyciele i czyn swój, wpływający z pobudek niewątpliwie najlepszych, opłacili straszliwą przegraną. Bankructwo marzenia—to nieubłagane dziedzictwo duchowe pokolenia popowstaniowego.

Nieuniknionem tego następstwem był rozpaczliwy odruch umysłów w kierunku hasel pozytywizmu i pracy organicznej; szermierze nowych zasad chcieli iść przebojem, wypłenić zgubne ich zdaniem kwiaty uczuć, obalić „kościół narodowych pamiątek”, by na ich miejsce wznieść „kowadła pracy”. I kraj za nimi nie poszedł. Łaknął *serc* pokrzepienia. Na bezlitosny zaś wyrok zagłady odpowiedział czynem wewnętrznego odrodzenia szerokich mas ludowych, stwierdzając raz jeszcze niezniszczalność żywiołowej siły rozwoju narodowego, co szuka „nowych, nieodkrytych dróg” i ducha niepożytych czyni.

Prosta a szczerza spowiedź Daniłowskiego, człowieka, który w ruchu styczniowym niepoślednią odegrał rolę, odstania jedną z najciekawszych kart dziejów tych lat, pełnych wiary i klęski.

Pamiętnik swój spisywał Daniłowski po przeszłych już burzach młodzieńczego żywota,

*) Władysława Daniłowskiego: „Notatki do pamiętników”. Wydał Jan Czubek. Kraków 1908. Nakładem Akademii Umiejętności (Źródła do dziejów Polski porozbiorowych II).

na dalekiej Północy, zdala od kraju i najbliższych, „pośród grobowców ubiegłej przeszłości, wśród mogił i trumien zgasłych nadziei i ułud szczęścia”. W tej duszy nawskroś poetyckiej, wrażliwej na piękno i czutej aż do przesady żarzyły się bezustannie ognie czynu; z jakąś gorączkową niecierpliwością rwie się do działań najnieopatrniejszych, rzuca się w odmęt tajemnych prac związkowych od pierwszej chwili zetknięcia się z rozpalającą atmosferą Warszawy przedpowstaniowej. Idealista, „budujący nie zamki, lecz szczęście kraju całego na skrzydłach młodzieńczej fantazyi, z głową, nabitą planami konspiracyi i przygotowań rewolucyjnych”, z przyrodzenia nieśmiały, pełen atoli ambicyi do odegrania wielkiej roli w sprzysiężeniu—takim był przyszły spiskowiec, przewodnik Czerwonej młodzieży, a przez pewien czas członek Komitetu Centralnego.

Aby zrozumieć całą doniosłość i znaczenie czynników psychologicznych, pchających Daniłowskiego w wir konspiracyjnego życia, należy wniknąć głębiej w ówczesny nastrój społeczeństwa. Ruch narodowy w latach 1861—1863 przedstawia zjawisko niesłychanie skomplikowane i tem bardziej trudne do sprecyzowania, że mamy tu do czynienia z całym spletem najprzeróżniejszych, przeważnie nieuchwytnych pierwiastków psychicznych pierwszorzędного znaczenia w tem tak wybitnym i w następstwie tak ostrem przesileniu dziejowem, jakim było powstanie styczniowe.

W odwet za rewolucję listopadową pozabawiono Królestwo karty konstytucyjnej, rozdartej według poglądu cesarza Mikołaja I go przez sam naród zbuntowany, wprowadzone zaś na jej miejsce zarządzenia dokonane zostały sposobem administracyjnym, bez jakiegokolwiek sankcyi międzynarodowej, w dalszem konsekwentnem rozwinięciu dążące do zupełnej unifikacyi kraju ze zwycięstwem cesarstwem rosyjskiem. Społeczeństwo polskie, usunięte od wszelkiej legalnej i jawnej działalno-

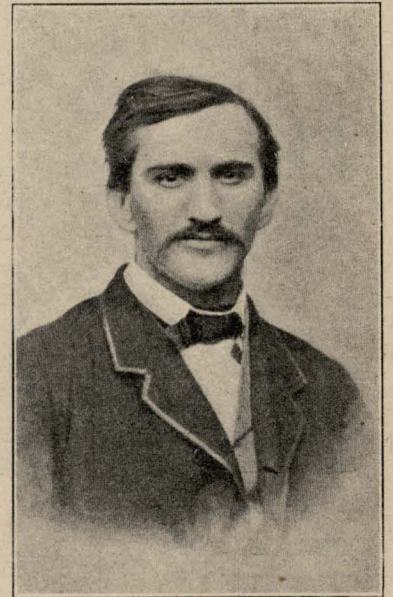


LELEWEL, KRASZEWSKI, CZACHOWSKI, ROGIŃSKI.

ści publicznej, pozbawione najlepszych sił i osłabione klęską, utonęło w apatii, uległo duchowemu rozbiciu, niekiedy tylko zrywając się w słabych liczebnie i wątplych organizacyjnych grupach do rozpaczliwego protestu.

Cechą wszakże znamionną całego ogółu,

bez różnicy klas, stanów i stronnictw, była utajona wiara w swój naród, wiara, która w szóstym i siódmym dziesiątku ubiegłego stulecia stała się wprost fanatyczną, pełną zapалу, przeszła w uniesienie i mistycyzm niemal religijny; pod jej wpływem rozblysnął czerwienią płomień uczuć narodowych, rozszerzył się na cały kraj i zamienił w pożar. Gdy kości zostały rzucone, nie było siły, co by mogła owoładnąć żywiołowym ruchem, zrywającym wszelkie możliwe tamy! Fala powstrzymać się już nie dała. I gdy nawet „zgasły wszystkie nadziei promienie”, iść i ginąć stało się obowiązującym hasłem patriotycznym. Poszedł i Daniłowski. Bez wahania, z całym zapalem swej młodzieńczej natury, stanął po stronie najżarliwszych stronników rewolu-



AGATON GILLER.

cyi. Trawiony gorączką czynu, krańcowy działacz rewolucyjny i konspirator, nie uznający żadnych układow z rzeczywistością, wielbiciel niemal do końca „boga rewolucyi”, Mierosławskiego, jest Daniłowski typowym przedstawicielem najczerniejszej grupy w r. 1863. Nie był politykiem, jak zresztą większość kierowników ruchu, w działaniach swych szedł zawsze za popędem swej bujnej wyobraźni i podszeptów przepełnionego najczystsza miłością sprawy serca. Wypadki wysuwały go na stanowisko przodownicze, nakładały obowiązki, którym podołać nie mógł, nie potrafił również zdać sobie sprawy z całego ogromu odpowiedzialności, jaką z młodzieńczą ufnością w swe siły podejmował. W tem tkwił tragizm ruchu styczniowego. Była Konradowa wiara w potęgę uczuć i myśli, co zdolne są „zwałać i podźwigać trony”, była ofiarność, posunięta do fanatyzmu, brakło istotnej rozważgi i męskiej dojrzałości w czynach.

Powiedział niegdyś Skarga: „Jest się o co frasować i bać, iż ludzie młodzi, nieświadomi, nie ćwiczeni w Rzeczypospolitej rządu czynią”. Słowa te, płynące z kochającego i zbolełego serca, mimowoli przychodzą na myśl czytelnika zwojeń Daniłowskiego.

Jednak nie potępienie, lecz ciężki, fraso-bliwy smutek nasuwa ta księga, będąca odbiciem duszy wzniosłej, przepojonej bólem przedwcześnie złamanej wiary tysięcy. Z kart tych, pisanych pięknie, z prawdziwym talentem literackim, snuje się tętniąca życiem, barwna i interesująca opowieść dziejowa. Czytamy ją z zapartym oddechem i łąz w oku. Bolesna jest, a tak bliska, serdeczna.

O ZIEMIĘ PIASTOWĄ

Nie obcą jest czytelnikom *Tygodnika* sprawa, o której mówić zamierzamy. Nie obcą nie tylko dlatego, że poruszaną nieustannie w prasie codziennej, ale przede wszystkim dlatego, że naszemu piśmie przypada zasługa inicjatywy poruszenia jej w roku ubiegłym. Pragniemy mówić o zagonach, rozpuszczanych przez Niemców w kraju naszym.

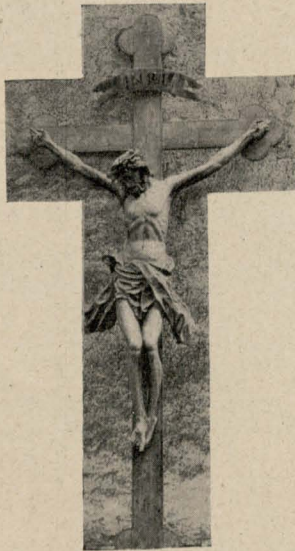
Sprawa ma stron kilka. Oto w Łodzi, mieście niemieckim, wedle odezwo komitetu szkolnego, organizują się Niemcy w szereg zespolonych stowarzyszeń, wyraźnie skierowanych przeciwko żywiołowi polskiemu. Oto we wschodnich powiatach ziemi siedleckiej i lubelskiej, nad którymi wisi miecz Damoklesa oderwania od pnia rodzimego, korzystając z polityki Banku włościańskiego, usuwającej od kupna ziemi włościan Polaków i katolików, tworzą całe wsie germańskie, podając rękę pobratymcom swoim z Wołynia. Cały łańcuch niemiecki ciągnie się od granicy, a pierwsze w nim ogniwa stanowią straż przednią nad Drwęcą, na prastarej ziemi piastowskiej, — ziemi Dobrzyńskiej. Stąd w tej chwili zdaje się grozić największe niebezpieczeństwo. Lekkomysłni potomkowie lekkomyślnych ojców, którzy niegdyś przejadali i przepijali ojczyznę, dziś sprzedają ojcowiznę kupcom, nie pytając, kto i zacy, byle dobrymi pieniędzmi płacił. W tym razie talarami pruskimi.

Nie pierwsze to najście Niemców na starą dzielnicę polską. Na początku XIV stulecia kupują Krzyżacy połowę ziemi Dobrzyńskiej; nie wyzwala jej z ręki najeźdźcy bitwa pod Płowcami i wraca do Polski dopiero wtedy, kiedy ostrożna, dziś przez niejednego potępiana, polityka Kazimierza Wielkiego zrzuca się praw do Śląska i Pomorza. Władysław Opolczyk zastawia ją znowu Krzyżakom; i dopiero Grunwald, doszczętny pogrom Zakonu, wyzwala ją, zdawałoby się, na zawsze. Na długo tylko, bo w przeszło pięćset lat potem, przy rozbiórce przypada w udziale Prusom. Znana łatwość kredytu, opierane na ruinie szlachty polskiej rachuby pruskie wprowadzają na ziemię Dobrzyńską tysiące kolonistów niemieckich. Zmienne koleje Księstwa Warszawskiego i wojen Napoleońskich ustalają wreszcie granice Królestwa. Ale słupy graniczne nie przeszkadzają pokojowemu przenikaniu. „Pobożny i skromny” Michel niemiecki, z pieśnią cichą o czuwaniu nad brzegami Renu i Wisły, zbrojny w łatwo i tanio wypożyczane talary, chętnie szuka kariery życiowej w dzikim Hinterlandzie niemieckim, w eks-Prusach południowo-wschodnich.

I znajduje ją. I mnoży się i tworzy całe zwarte kolonie germańskie. Pokojowe prze-

nikanie ciągnie się przez całe stulecie, a w ostatnich dziesiątkach przybiera rozmiary wprost zastraszające. Posłuchajcie cyfr, zebranych przez p. Tylickiego na wystawę lipnowską, spojrzycie na mapkę narodowościową dra Macieszy.

W r. 1897, w powiatach lipnowskim i rypińskim niemiecka posiadłość rolna obejmowała 54,219 morgów, w roku 1907 zaś 74,305 mrg. Czyli wzrosła prawie półtora raza. W gmi-



Boża męka w Oborach.

nie Obrowo wykupili Niemcy w tym okresie czasu 3,964 morgi, w gminie Dobrzejewice i Chrostkowo po 1902 mg., w gminie Wąpielsk 1660 mg., w gm. Nowogród 1596 mg. (w roku 1907 posiadali tu tylko 72 mg.), w gm. Błonne — 1432, w gm. Czermin 1424 i t.d. Nie dość na tem. W ciągu ostatnich kilku miesięcy parę większych majątków polskich przeszło w ręce niemieckie; mniejsza o to, w jaki sposób.

Podstawianie osób trzecich, jako pośredników, — sposób, naśladowany z zaboru pruskiego, w niczem smutnego stanu rzeczy nie zmienia.

Sprzedawczyki! Oto miano, które ciśnie się na usta, kiedy mowa o tych kurczycielach ziemi polskiej. Miano, stygmatem hańby piętnujące człowieka po tamtej stronie granicznych słupów, a nazwiska ich ku wiecznej rzeczy pamięci uwiecznione w *Czarnej Księdze* narodu polskiego. I my musimy iść w ślady rodaków naszych, rzucać klątwy na głowy odstępców, starodawnym obyczajem odmawiać im ognia i wody.

Czy to wystarczy?

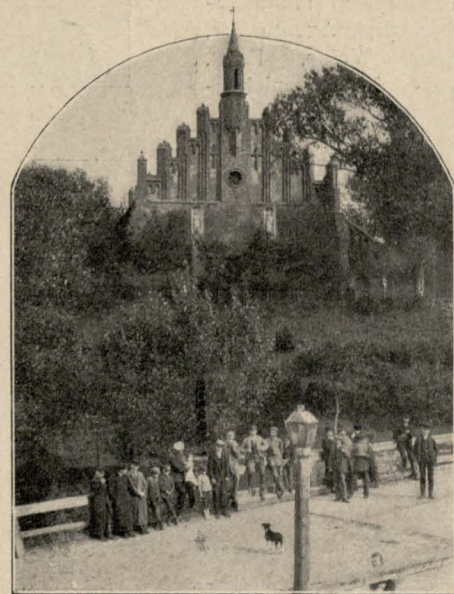
Nie lekceważymy bynajmniej potęgi opinii publicznej. Ale potępiające jej wyroki są, jako ten ogień, który uzdrowia, kiedy żelazo nie uzdrowi. Ale ostrze ich stępia się, gdy je zbyt często stosować wypadnie. Ale one karzą tylko sprzedawczyków, w niczem nie zapobiegając złemu; ferowane są wtedy, kiedy szmaty ziemi przeszły już w ręce obce. O środkach zapobiegawczych pomyśleć wypada, o stosowaniu wskazówek zdrowej higieny narodowej.

Czem Niemcy nas biją, czem zdobywają ziemię naszą? Pomińmy zalety rasy, zwłaszcza lepsze przygotowanie do walki gospodarczej, bo wielu lat potrzeba, abyśmy te cechy w sobie wyrobili, a tu śpiesznie radzić trzeba. Pozostanie lepsza organizacja pieniężna, o wiele tańszy w Prusach kredyt, zwłaszcza na takie, jak wywłaszczanie Polaków, cele. Na jednym punkcie mamy przewagę: prawda, że kapitał u nas droższy, ale chłop nasz, właściciel, ma mniejsze potrzeby od Niemca i snadniej wyższy procent zapłacić może.

Chodzi więc o to, aby tego kapitału dostarczyć, a przede wszystkim, aby znaleźć pośrednika pomiędzy tym, kto chce sprzedać, a tym, co kupić zamierza. Więc trzeba nie ustawać w staraniach o rozszerzenie działalności Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego na drobne posiadłości; świeżo władze państwowe odmówiły tego, powodując się chyba polityką, bo żadne względy ekonomiczne nie

wytrzymują tu krytyki. Więc trzeba zakładać spółki parcelacyjne, wzorem ziemian lubelskich i dobrzyńskich, o co właśnie chodzi. Chłopi, zwłaszcza powracający z emigracji północno-amerykańskiej, mają pieniądze, nieraz nie wiedząc, jak ich użyć, bo w ich okolicy właśnie niema ziemi na sprzedaż. Redakcyje pism ludowych odbierają setki listów o informacje parcelacyjne; wieści, podawane przez nie o zamierzonych parcelacjach, często, niestety! fałszywe lub przedwczesne, — wywołują niezmierny ruch, wysyłanie delegacji, zawiedzionych, jak to było w r. z. na Wołyniu. Trzeba ich tylko uświadomić i trzeba móżdż ich skierować do uczciwego pośrednika. Taką rolę winny spełniać spółki, zakładane na zasadzie ustaw normalnych, nie żadne wielkie banki akcyjne, które mogą nie uzyskać zatwierdzenia i pozostać niespełnionem marzeniem, chociaż się o nich wiele mówi. Zamiast wielkich projektów — niech powstanie wiele spółek, takich jak lubelska i organizująca się lipnowska.

Wreszcie — ostatnie to, ale nie najmniej ważne — trzeba wzmocnić chwiejące się majątki. Bo nieraz sprzedaje tylko ten, co musi. W Poznańskim istnieje spółka pod skrom-

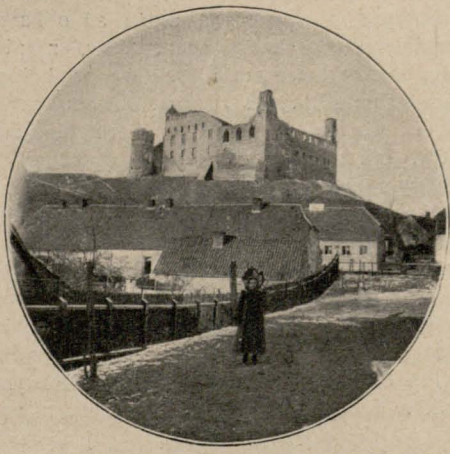


Kościół w Rypinie.

ną nazwą „Związek ziemian”. Cele jej są ratownicze. Bierze w zarząd źle administrowane lub zbyt zadłużone majątki; opracowuje plany podniesienia gospodarstwa i spłaty długów; usuwa zupełnie od zarządu właścicieli lekkomyślnych i niedoświadczonych, a tylko nie szczęśliwym daje zajęcie rządców własnych majątków, rządców, odpowiedzialnych przed Związkiem i wykonywających jego plany i polecenia. Stworzenie takiej instytucji u nas jest jednym z pierwszych, najpilniejszych zadań naszych posiadaczy większych wogóle, a szlachty zagrożonej ziemi Dobrzyńskiej przede wszystkim.

Oto sposoby i środki, które zastosowano już o miedzę i które wytrzymały próbę czasu. Jeżeli zażegnały zło niezupełnie, jeżeli czasem słyszymy jeszcze o sprzedawczykach w Poznańskim, to dlatego, że występnych ludzi i występnych czynów nie brak w żadnym społeczeństwie.

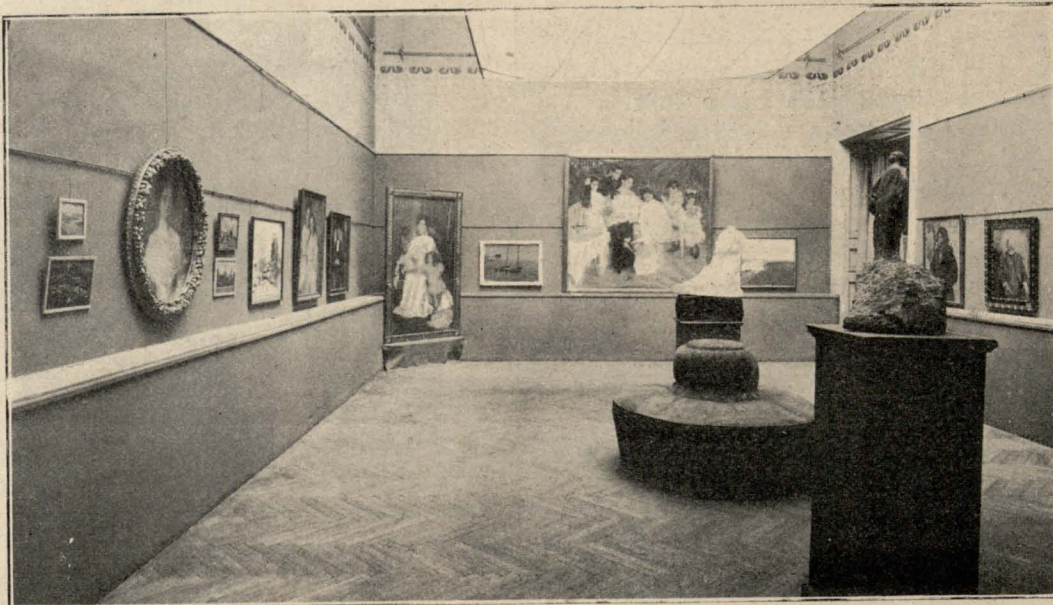
Ponad przekleństwem, które ostatecznie jest tylko słowem, jakkolwiek słowem, dyktowanym rozpaczą, stoi czyn. Czynem tylko, czynem pomocy, pośrednictwa, organizacji możemy odpowiedzieć na dążenia niemieckie, czynem tylko stwierdzić możemy, że czuwa straż polska nad Wisłą i Drwęcą.



Ruiny zamku w Golubiu.

WYSTAWA „SZTUKI”.

Dnia 20 marca otwarto w Krakowie trzynastą z rzędu wystawę „Sztuki”. Tym razem zasłużona ta gmina artystyczna zabrała się energicznie do pracy i dała wystawę taką, jakiej dawno już nie oglądano w Krakowie, a jaka o całe niebo przewyższa zeszłoroczną wystawę tej samej „Sztuki”. Widocznie istnienie drugiej organizacji artystycznej „Zero” pobudza do emulacji, do przescigania się w wysiłkach artystycznych, co z punktu widzenia sztuki i kultury może być tylko najżywczej przyjęte. Cała wystawa obecna (potrwa do 30 kwietnia) znajduje się na poziomie tak wysokim, że decyzyja co do tego, komu w niej oddać pierwszeństwo, jest bardzo trudna i ryzykowna. Bez mała bowiem wszyscy są tamlepsi. Zdaje się jednak, że sprawiedliwości, zarówno jak wszelkim kanonom estetyki, stanie się zadość, jeżeli zaczniemy swe sprawozdanie od profesorów, nie dlatego, że są profesorami, ale że istotnie na tej wystawie złożyli ponowne dowody swego bardzo wysokiego artyzmu i mistrzostwa techniki. Axentowicz, Mehoffer, Weiss, Fałat, Ruszczyc, ś. p. Stanisław-



WYSTAWA „SZTUKI” W KRAKOWIE.

ski i Wyspiański, oto te nazwiska, które zdobiją wystawę i czynią ją w całym tego słowa znaczeniu niezwykłą. O obrazach Axentowicza zamieszcza *Tygodnik Ilustrowany* w numerze niniejszym obszerniejszy szkic, tu więc wystarczy powiedzieć, że, jak ich jest dziewięć na wystawie, wszystkie budzą żywe uznanie dla nie słabnącego talentu artysty, dając zarazem pełny obraz jego twórczości, szczególnie w dziedzinie portretu i studium twarzy w ogólności.

Mehoffer wystawił dwa witraże, z których szczególnie Chrystus, karton do okna w katedrze krakowskiej, zasługuje na najwyższe uznanie bogactwem kompozycji, śmiałością linii i szlachetnością polichromii. Dwa portrety tego samego artysty, szczególnie portret żony na tle obszernego salonu między dwoma drzewami laurowymi, stanowią bardzo szlachetny produkt tej śmiałej i bardzo oryginalnej techniki, która, obok niepospolitej inwencji artystycznej, zjednała Mehofferowi zasłużoną sławę. Jedwabna suknia na portrecie żony jest w swoim rodzaju arcydziełem malarzkim.

Weiss Wojciech, jak zawsze, oryginalny i, jak zawsze, nowych form i wyrazów dla swej bujnej

twórczości szukający, dał parę przepysznych, a przede wszystkim bardzo zajmujących portretowych studyów kobiecych (kobieta w drzwiach, portret staruszki) i dwa akty. Jakkolwiek zdania o wartości czysto estetycznej tych dzieł mogą być różne, to jednak leży poza wszelką wątpliwością, że w Weissie ma sztuka polska indywidualność twórczą, niepospolicie silną, płodną i wyposażoną obficie we wszystkie środki wypowiedzenia się.

Fałat i Ruszczyc mają tylko po jednym obrazie, ale za to doskonałym, tworząc niejako przejście od portretów i bryły ludzkiej w jej najdoskonalszej na wystawie interpretacji do pejzażu, w którym króluje jeszcze ciągle ś. p. Stanisławski. Umiejętny dobór jego dzieł pozwala jeszcze raz niejako retrospektywnie przejrzeć twórczość tego nieodżałowanego artysty, w której przed końcem i wybitnie schyłkowym zapanowaniem doktryny kolorystycznej nad zadaniem żywej sztuki roilo się od takich arcydzieł, jak np. wystawiony obecnie pastel, przedstawiający fragment stawu, lub mały olejny obrazek p. t. „Jesień” i t. d.

Ze Stanisławskim wchodzimy w dział wystawy, reprezentowany bardzo bogato pod względem zarówno jakościowym, jak ilościowym. O pierw-

szństwo walczą tu ze sobą Kamocki z Trojanowskim. Pierwszy dał szereg pejzażów i widoków, wśród których „Widok sadu” i „Cisza podkościelna” są dziełami pierwszorzędного talentu, drugi zaś swojemi „Barkami” na wezbranej Wiśle przypomniał żywo najlepsze swoje dzieła w tym rodzaju. Ta szeroko rozlewająca brunatne swe wody Wisła, ta rozległa, przesycona zimną wilgocią przestrzeń nad wodą, ta głąb powietrza i to uczucie wreszcie, które pozwala artyście bardzo skromnymi

środkami kolorystycznymi wywoływać ogromny efekt, każą uznać w Trojanowskim siłę artystyczną zupełnie niezwykłą.

Przejście od czystego pejzażu do rodzajowości i kompozycji stanowią Czajkowski: Józef („Wspomnienie”) i Stanisław, który w „Chłopskim zakamarku” dał rzecz bardzo wdzięczną i godną uwagi („Stado drobiu w zagrodzie wiejskiej”).

Martwej natury i t. zw. „wnętrz” na wystawie stosunkowo niewiele. Tem godniej reprezentuje je Filipkiewicz Stefan, którego dwa wnętrza pokoju zalecają się doskonałym rozwiązaniem problemu świetlnego i bardzo sympatycznym sentymentem.

Jak dotąd, wszystkie te dzieła, aczkolwiek noszą wybitne piętno szukania nowych dróg, ciągłego „samostawiania się” i doskonalenia, znajdują się mimo to w sferze, bądź co bądź, uznanych już pojęć estetycznych. Czynnikiem rewolucyjnym z punktu widzenia tych właśnie pojęć stanowi jedyny Pautsch Fryderyk, którego obrazy, szczególnie zaś „Żebracy”, jedni skłonni są uważać za objawienie niemal, drudzy zaś za skandal estetyczny. Jak zwykle, tak i w tym wypadku, prawda leży pośrodku, a oryginalne, niemal aż sensacyjne studia młodego tego malarza nie są ani objawieniem, ani skandalem, ale poprostu produktem tego okresu „Sturmu” i „Drangu”, który przebywa każdy młody, prawdziwy talent, a którego głośną i zasadniczą cechą jest mierzenie sił na zamiary. Pautsch w „Żebrakach” swoich przedstawił zgiekliwą scenę z odpustu pod Katedrą św. Jana we Lwowie, dając nam szereg typów żebraczych, traktowanych z ogromnym, może aż o karykaturę potracającym realizmem szczegółów, z nieokreślonym temperamentem i brawurą w kolorystyce i doskonałym poczuciu ruchu. Zasadniczemu warunkowi wszelkiego piękna, harmonii środków i celów, obrazy Pautscha nie odpowiadają, ale w każdym razie zniewalają do traktowania ich poważnego, jako zupełnie poważnych zadatków na piękną przyszłość artystyczną młodego malarza. Doświadczenie uczy, że taki ferment barbarzyństwa stale przemija, jak to widać chociażby z pięknego tryptyku Sichulskiego, który ongiś także już to przerażał, już to zdumiewał świat swoimi dziełami i z odpowiednią dzikością malowanymi Hucułami, a dziś doszedł już do takiej równowagi, że zbliżył się do poprawności w jej niekoniecznym najdotąd znaczeniu.

Osobno stoi inny specjalista od świata huculskiego, Jarocki Władysław, który szczególnie w swojej „Cerkiewce huculskiej” dał rzecz piękną, doskonale opracowaną i szlachetnie traktowaną.

Nie wymieniamy innych wystawców, nie dlatego, jakoby nie zasługiwali na to, ale w krótkim szkicu z wystawy 196 obrazów i rzeźb 39 artystów trudno byłoby dać coś więcej, niż przepisanie katalogu, gdyby się chciało nie pominąć żadnego.

Grafika ma bardzo dzielnego reprezentanta w doskonałym akwafortyście, Rubczaku Janie. Rysunek zaś, sepia i akwarela znalazły interesujący wyraz w szeregu dzieł p. Noskowskiego Stanisława z Moskwy, przedstawiających wnętrza sal na Wawelu i rozmaite zabytki architektoniczne.

Rzeźba przedstawia się, w stosunku do obrazów, znacznie skromniej. Dużo tu niezaprzeczonego talentu, poprawności i pracy zupełnie rzetelnej, ale nowych rzeczy niewiele. Pierwsze miejsce należy się Ostrowskiemu i Szczepkowskiemu za bardzo subtelnie traktowane biusty portretowe. Także i Hochmana Henryka portret jakiegoś kniazia nie powinien ująć uwagi zwiedzających.

Na ogół wystawa obecna „Sztuki”, różniąc się dodatnio od innych wyraźnym przejściem od fragmentów i drobiazgów do poważnych problemów artystycznych z wyraźną tendencją do kompozycji, stanowi plon pracy znacznej części naszych najlepszych artystów bardzo poważny i do optymizmu na punkcie przyszłości malarstwa naszego uprawniający. □

HRABIA WOJCIECH.

„Hrabia Wojciech”—tak nazywali Dzieduszyckiego wszyscy, zdrabiając czasem Wojciecha na „Wojtka” i „Wojtusia”. Było w tem to dziwne spoufalenie, jakie natury takie, jak Dzieduszyckiego, wytwarzają w najszerszych kołach swojego otoczenia. Trzydzieści lat „robił” politykę. Z trybun sejmu i parlamentu szły do społeczeństwa jego mowy namiętne, zawsze improwizowane, a zawsze skończone arcydzieła kunsztu oratorskiego. Z kularów zaś leciały w ślad za temi mowami swawolne dowcipy hr. Wojtka, częstokroć wręcz nieśmiertelne, jako satyra lub charakterystyka, a prawie zawsze—tłuste...

Trzydzieści lat słuchano go i powtarzano z sympatją, jakiej dar budzenia mają zawsze ludzie, łączący w sobie talent z oryginalnością. Co przyjemne i pożądane, przypisuje się ich talentowi, co nieprzyjemne—oryginalności lub, jak mówią w Galicyi, nazwaniu. Sympatję miał hr. Wojciech powszechną i szczerą. To też, kiedy 23 marca rozeszła się wiadomość o nagłej jego śmierci, ludzie z trudnością tylko decydowali się wierzyć, aby istotnie było możliwym, że hr. Wojtka nie stało...

* * *

Chudy był, wysoki i zawsze zaniedbany w ubraniu. Ci, w których mniemaniu mąż stanu, minister, tajny radca i t. d. musi być zarazem modelem najnowszej mody krawieckiej, byliby w nim nie poznali, że to polityk niepospolity, statysta wytrawny, polihistor zgoła nadzwyczajny, a przytem i pan wielki...

Ikarowe skrzydła młodości wysoko niosły Dzieduszyckiego. Był przede wszystkim radykałem czerwonym i nie wahał się pomagać prof. Gumplowiczowi w Krakowie w szerzeniu rozmaitych światoburczości. A nado pisał i pisał—powieści, rozprawy, filozoficzne rozmaite historie. A jako autor poematów, wziął chyba rekord dziewiętnastego wieku 20 tysiącami wierszy swojej „Baśni nad baśniami”...

Powołany do pracy politycznej, zaczął

powoli obniżać lot. W obliczu bieżących zadań życia praktycznego okazał się konserwatystą.

Zapał, patos, natchnienie, które kazały mu napełniać coraz nowe tomy swoimi zawsze oryginalnymi pomysłami, tu nie wystarczyły mu do wzniesienia się ponad to, co jest, i uświadomienia sobie konieczności, że w wielu rzeczach, na wielu dziedzinach musi być zupełnie, a przynajmniej nieco inaczej. Hr. Wojciech w ciągu trzydziestu lat swej działalności politycznej nie przestał być ani na chwilę konserwatystą. Konserwatyzm ten jego był odmiennego i dość rzadkiego gatunku. Nie wpływał z samej tylko pozycyi społecznej, z samego faktu zadowolenia egoizmu indywidualnego, rodzinnego lub kastowego, nie był zaślepieniem, ciasnotą i niedołęstwem lub lenistwem umysłowym, lecz był raczej wynikiem wielkiego i ogólnego sceptycyzmu, który cechował sposób myślenia Dzieduszyckiego.

Był on typowym sceptykiem, który czasem dzięki swemu temperamentowi szlacheckiemu zawadzał nieraz o cynizm... Nie dowierzał zdolnościom ludzkim i dlatego wzdragał się ryzykować to, co już znał, aby osiągnąć to, czego nie znał i w co niechętnie wierzył. A sceptycyzm jego był światły, wykształcony na najwspanialszych pomnikach filozofii greckiej i nowożytnej, przepojony erudycją ogro-



Hr. Wojciech Dzieduszycki.

mną i darem dyalektycznym niezwykłym. Taki sceptycyzm ochronił go przed reakcyjnością, przed tą tępotą umysłową, która zna tylko dawne dobre czasy i gotowa jest przysięgać, że, im dawniejsze są, tem były lepsze...

Reakcjonistą Dzieduszycki nie był. Zbyt dobrze znał przeszłość i teraźniejszość, aby i w nich także sceptycyzm jego nie znajdował pożywczej stawy. Reprezentował tylko pierwiastek rozważli, która wobec nowatorstwa nie jest niczem innym, jak rozumną nieufnością. Dawał się też przekonywać. Nie uznawał żadnego autorytetu, nie wyjmując swojego. I chętny był do dyskusji, w której niewiele miewał sobie równych.

Na zewnątrz sceptycyzm jego przejawiał się, jako kpiarstwo. Zbyt silna była w nim natura starego szlachcica, tego urodzonego optymisty. Zbyt dużo było w nim rasy polskiej i temperamentu sarmackiego, aby ogólne jego niedowiarstwo przemieniło się w nim w ponury pesymizm. Zamiast krakać, jak kruk, wolał pokpiwać stale, a nieraz i dobrze zakpić.

Jedno tylko było dla niego nietykalne i święte, a mianowicie Polska. Znał jej słabe

strony, jak mało kto, a jednak na punkcie Polski i polskości milkł jego sceptycyzm. Na tym jednym punkcie i sam nie robił i drugim nie dopuszczał żartów... Ten gorący patriotyzm był też busolą, którą kierował się w życiu swem politycznym, gdzie bez niej taki właśnie umysł, jak jego, najłatwiej mógł zejść na manowce.

To też można mu, jako politykowi, zarzucić bardzo wiele, ale niepodobna zaprzeczyć, że wszystko, cokolwiek robił, było zawsze wynikiem jego najszczerzej chęci dobrego służenia Polsce.

* * *

Politykiem był pierwszorzędnym. Miał do tego wszystkie dane: wiedzę, przenikliwość, temperament, wysoką zdolność panowania nad sobą, spryt ogromny, łatwość orientowania się i umiejętność postępowania z ludźmi. W mowach swoich był zawsze całym sobą. Nie były to jakieś nabożeństwa retoryczne, ani też szumne występy oratorskie.

Hrabia Wojtek wstawał sobie poprostu bez żadnych kragłych gestów i min uroczystych, bez cienia troski o „portamenta”, „timbr” i „kantylene” oratorską, i zaczynał głośno, swoją charakterystyczną wymową, w której „r” brzmiało, jak „ł” lub „h”, i w której ostatnia sylaba przeciągała się, lub nawet powtarzała niepotrzebnie. W miarę jak mówił, zaczynał się zapalać. Stawał się nawet namiętnym, podnosił głos do krzyku i gestykulował zupełnie elementarnie. Mimo to nie stracił nigdy wątku. W rozpoczętem częstokroć bardzo długim zdaniu nie połamał nigdy misternego szyku słów, finezyjnego rysunku jakiegoś określenia dyplomatycznego, jakiejś złośliwości satyrycznej nigdy nie popsuł. W największem uniesieniu, kiedy nieraz po wygłoszeniu mowy długi czas nie mógł się uspokoić, zdania z ust jego wychodziły okrągłe, myśli jasne i ściśle z sobą powiązane. To też słuchano go zawsze z zapartym oddechem...

* * *

Lubił młodzież. Często po wielkich i ważnych debatach politycznych wpadał do kawiarni i tu, w gronie słuchaczy uniwersytetu, przy czarnej kawie i papierosach, rozprawiał... o filozofii, o sztuce, przeplatając to wszystko żartami i dowcipami niezbyt powściągliwymi. Nieraz ranny brzask zastawał go w gronie młodzieńców, którym ani przez myśl nie przychodziło dziwić się, że ten ich partner nieustrudzony jest nie tylko profesorem i towarzyszem doskonałym i oryginałem często śmiesznym, ale także i dygnitarzem i mężem stanu.

Często takie posiedzenia platońskie z kawiarni przenosiły się do pokojów studenckich, gdzie oryginalna ekscelencya, wygodnie usadowiwszy się na łóżku, zabawiał się wywoływaniem duchów. Wprawdzie „duchy”, zbytnio spoufalone, wystukiwały często rozmaite impertynencye pod adresem ekscelencyi, ale w dowcipie i ciętości, z jaką na nie odpowiadał, nie mogły jej nigdy dorównać...

* * *

Reprezentacja polska w greckim pałacu parlamentu wiedeńskiego straciła w ś. p. Dzieduszyckim niewątpliwie najwybitniejszą dziś i najoryginalniejszą postać i jedną z najtęższych głów, którą nie tak prędko uda się zastąpić inną, równie mocną i bogatą.

KŁĘSKA.

Z CYKLU: „WIEŚ“.

Chciałem w niniejszej pogadance trefnym żartem, czego zwyczaj, na „Prima Aprilis” wystrzelić, z barwinkową wiązką słów pod „Alleluja” do Was, Czytelnicy, zawitać. Tyle szarej zjawy, że godzi się ją przepłesć choćby złudną, byle weselną wieścią. Niestety! zawiodło.

To, czego się obawiano, nastąpiło. Spadła na kraj kłęska powodzi, z całym następstwem skutków, jakie bieda nieść zwykła.

Wystąpiły z brzegów Proсна, Wieprz, wszystkie niemal dopływy Wisły, a wylew królowej rzek naszych przybrał wprost kolosalne rozmiary. Najwięcej, o ile dotychczas wiadomo, ucierpiały okolice Puław, Dębliń, Sieciechowa. W ostatniej miejscowości fale wiślane zalały tor kolejowy, zrywając mosty i burząc budynki stacyjne. Dziesiątki wsi, setki chat w dolinach kozienickiej, gniewoszkowskiej stoją pod wodą!

Kłęska! tem groźniejsza, że nawiedziła w latach ogólnego wyczerpania, po latach zawodów, w czasie gdy siły społeczne nadwątlone, a rozwój ekonomiczny kraju w застоju.

pośpieszy, że posypią się datki i ofiary, że te sfery, które z takim oddaniem się współczuły niedoli Messyny, i dziś otworzą serce i kieszeń dla nędzy sandomierskiej, radomskiej, że będą miały też samą litosną duszę dla swoich.

Ale pomoc ta, choćby najobfitsza, zle-go nie usunie, należy pomyśleć o innej, skuteczniejszej, a taką może być praca zarobkowa dla tych, którym kłęska ostatni kawałek chleba odjęła.

Przed laty po powodzi tworzyły się komitety obywatelskie, którym powierzano naprawę dróg i mostów, nawet całkowite budowy szos. Komitety te wywiązywały się z włożonego obowiązku z ogólnym zadowoleniem.

O ile mi wiadomo, ówczesny generał-gubernator Hurko, komunikując się z ministerium, wykazał nawet, że koszty były znacznie mniejsze, niż płacone prywatnym przedsiębiorcom, którzy podobnych robót podejmowali się w drodze licytacji.

Po kłęsce powodzi w stronach, wylewem objętych, znaczny remont dróg będzie konieczny.



Rozsadzanie zatoru w pobliżu Warszawy.

Zdaje mi się, że to „potrzeba” i pilna, i na dobre.

I przez Bóg, czasby już wziąć się do regulacji Wisły na seryo! bo, jak dotąd, idzie ona żółwym krokiem. Kiedy w r. 1903 z polecenia *Tygodnika Ilustrowanego* zwiedziłem niemal całe koryto rzeki podczas powodzi, przekonałem się naocznie, że strona galicyjska, okolice Mielca, Szczucina



Zakładanie miny.



Wybuch.

ROZBIJANIE ZATORU NA WIŚLE W REGOWIE, POD DĘBLINEM. Fot. St. Szalay.

Nie wątpię, że lud polski, mieszkaniec chaty włościańskiej, w którego pierś ten nowy cios przedewszystkiem uderza, i tę kłęskę w dziejach swą wytrwałością przetrzyma; niemniej pomoc społeczeństwa jest konieczną.

Żadne artykuły, żadne odezwy przeciw wychodźtwa nie pomogą, gdy głód i nędza zajrzą do macierzystej chaty.

I nie wątpię również, że ratunek społeczny

Czyby nie było wskazane do wymienionego powyżej systemu powrócić i dać uszkodzonej ludności najskuteczniejszą pomoc: pracę zarobkową.

Przed paru dniami pisma codzienne doniosły, iż władze naczelne zwróciły się do „Tow. pracy społecznej” z propozycją współdziałania w opracowaniu dezyderatów najpilniejszych potrzeb kraju.

mimo znacznie niższych z natury brzegów, nie podległy tak zalewowi, jak leśne na przeciwnym brzegu strony Koprzywnicy, Pacanowa, Stopnicy; dopiero od ujścia Sanu Wisła bez tamy wystąpiła na oba brzegi, roznosząc kłęskę i zniszczenie. Dowód dość jaskrawy, aby regulację w imię dobrze pojętych interesów przyspieszyć. Największy kapitał, na ten cel przeznaczony, opłaci się szybko, jeżeli weźmiemy pod rachubę coroczne milionowe straty i dodamy korzyści, wynikające ze splawności rzeki na całej jej długości, co jedynie przy zregulowaniu koryta może być osiągnięte.

A roboty regulacyjne, dające możność pracy u siebie tysiącom, to także jeden ze środków, najlepiej przeciwdziałających wychodźtwa.

Wszystko więc przemawia za tem, aby regulację rozpocząć bez odwłoki i na seryo.

Sprawę tę powinno wziąć gorąco do serca „Tow. pracy społecznej”.

Wartość krescencyi zatopionej dziś na 900 włókach przestrzeni w jednej dolinie kozienickiej to już setki tysięcy rubli strat i tysiące ludzi...głodnych!

KAZIMIERZ LASKOWSKI.



Wyrwa w planie kolejowym, po zniesionym moście, pomiędzy Sieciechowem a Garbatką.

ZŁOTE LISTKI.

Na każdym miejscu i o każdej dobie,
Gdziem z tobą płakał, gdziem się z tobą bawił,
Wszędzie i zawsze będę ja przy tobie,
Bom wszędzie cząstkę mej duszy zostawił.

A. Mickiewicz: „Do M.”

Powódź w górze Wisły.

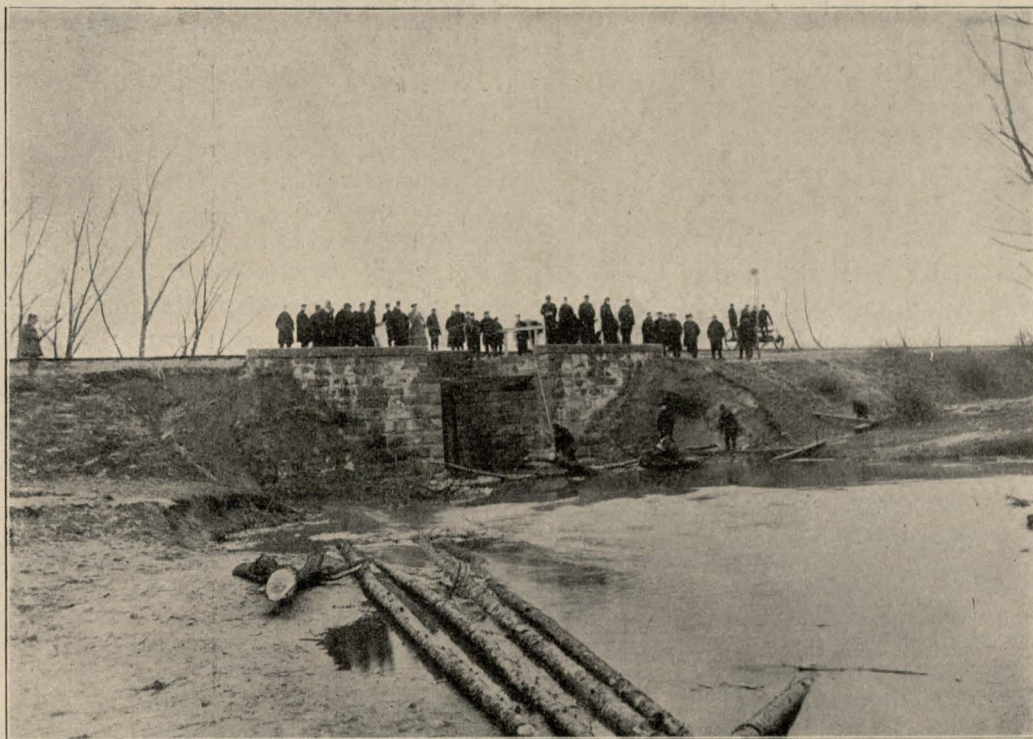
WRAŻENIA

Kiedy wszystkimi rozporządzalnymi środkami komunikacji, t. j. powozem, dręczyną, łodzią, końmi, konno i piechotą, przebiegłem zalaną w tygodniu ubiegłym przez wody z Wisły, spiętrzone do wysokości 17 stóp przez olbrzymi zator, sformowany w obrębie powiatów kozienickiego i puławskiego—niziny kozienicką i gniewoszowską, nic nie odpowiadało lepiej usposobieniu smętnemu duszy nad ten szary, smutny, ponury krajobraz, rozciągający się pośród dotkniętych powodzią 40 wiosek w obrębie czterech gmin.

Bo jakże się nie smuć, na widok nie już samego ogromu nieszczęścia, sprawionego katastrofą wodną, ale wobec niezaradności i nieprzeznaczonej ogółu naszych gmin wiejskich, które nie posiadały jeszcze żadnego poczucia konieczności samoobrony przed takimi żywiołowymi klęskami!

Nie była ta ostatnia dla ludności wiejskiej nizin Powiśla żadną niespodzianką. Przeciwnie, z długotrwałości zimy i jej mroźnego wpływu na kry wiślanych zwałów lodowych można było wynioskować najprostszą logiką o grożącej katastrofie z nadejściem roztopów. A jednak nie uczyniono nic zawnaz, ażeby jej zapobiedz.

Że nie pomyślały o tem władze przedewszystkiem komunikacji rzecznej i kolejowej—nie dziwota. Do ich beczynności i bezradności karygodnej a zupełnej mieliśmy już czas się przyzwyczaić. Ależ istnieje w pow. kozienickim komitet obywatelsko-gminny, opiekujący się wałem ochronnym nad Wisłą, mającym zabezpieczyć i odgrodzić okolice od skutków okropnych powodzi.



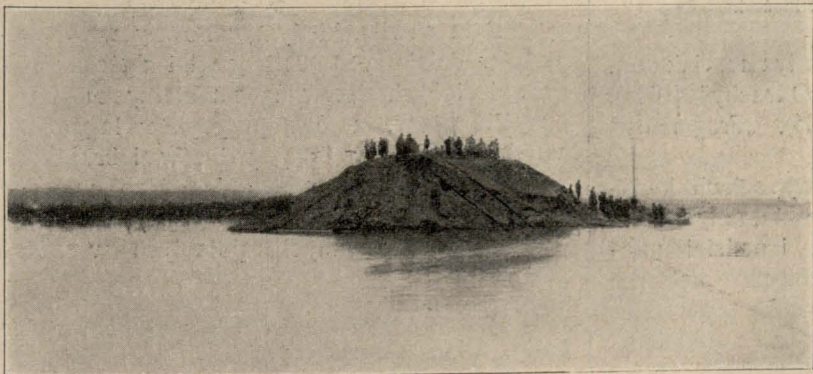
Zniszczony most na 7-ej wiorście odnogi Dąbrowskiej.

— 59 lat, moiściewy, nie było takiej powodzi, coby nas zatopiła, to i w tym roku, da Bóg, nie będzie!...

Lepiej, bo, kiedy jeden z inżynierów wodnych ostrzegał rodzinę, zamieszkujejącą dom, mieszczący forteczny posterunek telefoniczny, ażeby

Zrujnowała ona zupełnie linię kolejową odnogi dąbrowskiej na przestrzeni 11 wiorst prawie.

W pięciu miejscach, gdzie były żelazne mosty kolejowe, świadczą o nich albo tylko resztki przyczółków, wiązań i podkładów, albo olbrzymie luki w plancie, 50 sążni długości sięgające, wypełnio-



Zerwany plant kolejowy, gdzie był duży most żelazny, na 10 wiorście pod Sieciechowem.



Zwały lodowe pod Warszawą. Fot. amat. T. hr. Czackiej.

Otóż obudził się on dopiero z wygodnej drzemki zimowej w przededniu katastrofy, kiedy nie było już w mocy żadnej siły ludzkiej ani środków technicznych zapobiedz walącej się na biednych wieśniaków klęsce.

I zwała się a to na ogromnej przestrzeni 50 wiorst, 900 włók ziemi, w dobrej glebie i wcale posuniętej kulturze rolnej.

Tej ostatniej, niestety, nie odpowiada bynajmniej poziom intelektualny samych włościan, na roli tej gospodarzących, mechanicznie widać, tylko wyrachowanie. Oto kiedy w ostatniej chwili rozesłano wici po wsiach z groźnym okrzykiem:

„Woda idzie! Uciekajcie!”...

Mało który z włościan ruszył się z miejsca, polegając na zapewnieniach starców:

zawnaz pakowała manatki, gospodini mu na to:

— Ja się tam tutaj niczego nie boję. Kiej jest tu telefon, to i my bezpieczni...

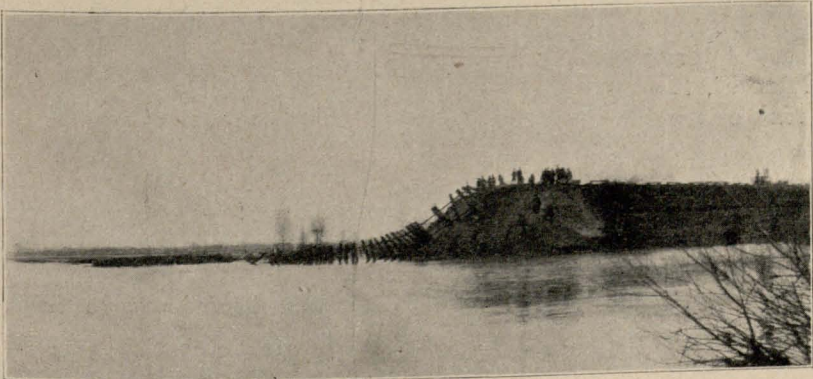
No i „obronca-telefon” zdradził zaufanie „pocziwej wieśniaczki” i nie zapobiegł w ciągu 12 godzin zatopieniu przez powódź tej chaty wraz z innemi...

A powódź nie ograniczyła się tym razem na zatopieniu, zawaleniu i zanieśieniu bryłami lodu oraz wyrwanej nadbrzeżnej ziemi z zakorzenioną w niej całą masą tataraku, pól, łąk, ogrodów i sadów wiejskich; na powywracaniu parkanów i płotów, popsuciu dróg i przejazdów, porwaniu drzew z korzeniami i ściętych, przygotowanych przez zamożnych tej okolicy gospodarzy zimą do budowy latem.

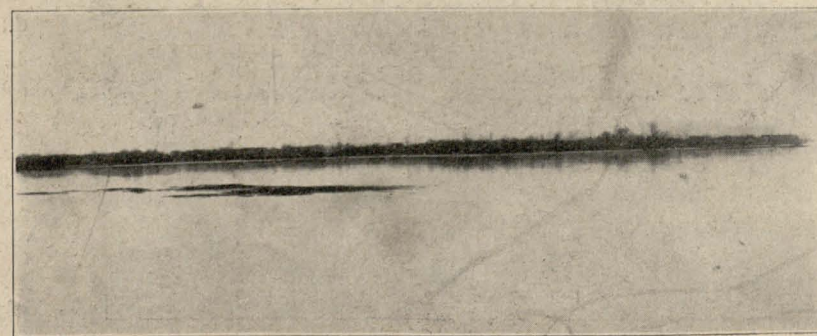
ne wodą, na kilkanaście łokci głęboką; w te wręcz potworne przepaści runęło wszystko: plant, most, filary murowane, przęśła żelazne, podkłady, szyny!... Olbrzymia siła szalejącego żywiołu pochłonięła je i porzuciła na wszystkie strony. I pozostała jedynie zniszczona, poprzerywana i podmyta linia kolejowa, po której zanim zaczną chodzić normalnie pociągi, łączące Warszawę przez Dęblin z Radomiem i Kielcami, dużo wody jeszcze spłynie z zalanych przestrzeni!

Bodaj niepowrotnie utonęła w niej nasza wiejska niezaradność i nieopatrzność, nasze chroniczne zdawanie się na łaskę losu—beczynności naszych jeszcze lekkomyślniejszych opiekunów urzędowych. To byłby bodaj jedyny pożytek z obecnej klęski powodzi!

VITIMIR.



Zniesiony plant i most pomiędzy Sieciechowem a Garbatką.



Z przestrzeni wodnych wylania się zaledwie osada Sieciechów z kościołkiem.

NA „PALMOWĄ”.

Zobaczyłem dziś palmę wioskową,
Z mazowieckiej uszczkniętą równiny!...

Co zamarło, odżyło na nowo!

Zobaczyłem w niedzielę Palmową,
Zobaczyłem gałązkę wierzby!

W mojej wiosce w tę niedzielę
Grają wierzby na wesele,
Grają wierzby wedle stoku,
Bo to święto raz do roku!
Kto żyw jeno, komu wola
Do kościelnych bram...
Tylko człowiek... Dolaż! dola!
Tylko człowiek sam!

W mojej wiosce na „Palmową”
Sygnaturka trzęsie głową,
Płyną dzwony! pieśni śliczne
Ponad bory okoliczne!
Ludu—rzekłbyś—snopia z pola!
I przy kramie kram!
Tylko człowiek... Dolaż! dola!
Tylko człowiek sam!

W mojej wiosce o tej porze
Może orzą... sieją może...
Może sieją... może sadzą...
Może pszczoły w ulach kadzą,
Albo z bydłem w zastodola...
Znam ci ja to! znam!
Tylko człowiek... Dolaż! dola!
Tylko człowiek sam!

W mojej wiosce! w mojej! w mojej!
Pewnie bociek w gnieździe stoi...
Pewnie chłopcy z fujarkami
Wedle studni z dziewczętami...
Stach... Maryska... Grześ... Margola...
Kiej obrazki z ram!
Tylko człowiek... Dolaż! dola!
Tylko człowiek sam!

Zobaczyłem dziś palmę wioskową,
Z mazowieckiej uszczkniętą równiny!
Co zamarło, odżyło na nowo!
Zobaczyłem w niedzielę Palmową,
Zobaczyłem gałązkę wierzby!

POETA CICHEGO SMUTKU.

EDWARD SŁOŃSKI.

Pamiętają niezawodnie czytelnicy *Tygodnika* te nasiątkę łagodnym smutkiem i cichą rezygnacją zwrotki:

Jeszcze wciąż pełen wiosny
i czekam na swój los,
a już mi jesień późna
siwizną srebrzy włos...

Wiersz ten, zamieszczony w jednym z ostatnich numerów naszego pisma z roku zeszłego, wzbudził powszechne zaciekawienie, stał się przedmiotem gorących rozpraw, zwrócił uwagę wszystkich na poetę, z pod którego pióra wyszedł.

Poetą tym jest Edward Słoński, nie od dziś zresztą znany inteligentnemu ogółowi. Pracuje na łanie piśmienniczym od lat dwunastu, od czasu wydania pierwszych zbiorów poezji: „Dla mojej pani” i „Z wiosennych dum” (1898), oraz „Poezji” (1899).

Z postępem czasu doskonali się jego pióro, cyzeluje forma, poeta dochodzi do coraz zupełniejszego opanowania środków technicznych i artyzmu, jak np. w zbiorach: „Noc” (1902), „Okruchy” (1904), „Pieśń nad pieśniami” (1904), „Fragmenty” (1905).

I oto wreszcie talent poety rozkwitł kwiatem wonnym a subtelnym, ale żałobnym, jakby wyrósł na grobie marzeń i nadziei młodzińskich. Mówimy tu o zbiorze pięknych liryk, z którego wyjęliśmy zwrotkę powyższą, zbioru, noszącym znany naszym czytelnikom tytuł: „Jeszcze wciąż pełen wiosny” (Warszawa, 1909).

Co w tym ozdobnie wydanym tomiku pociąga wyobraźnię i serca? Nie, jak u innych, kunsztowność niepospolita, z której wieje chłodem i pustką; nie wzniosłość niezwykła, która u niejednego z Parnasu okazuje się wspartą na szczudłach. Ale głęboka i prawdziwa szczerłość uczuć i bezpośredniość natchnienia, która umie w najprostszym sposobie, a zarazem najwierniej, manifestować stany wewnętrzne poety. Rzewne tony jego piosenek z serca płyną i trafiają do serca—najbliższą drogą.

I dzięki temu właśnie jest Słoński poetą lirycznym, w swoim zakresie i rodzaju, niepośledniego gatunku. Jeżeli głównym zadaniem liryka jest wzruszać „czulego słuchacza”, to nasz poeta cel ten osiągnął w zupełności.

Bo zimnego serca musiałby być człowiek, którego by jego wiersze, w ostatnim zbiorze zawarte, nie wprawiły w stan poważnej zadumy, jeżeli nie głębokiego smutku.

A nadewszystko smut-

ku. Bo to właśnie jest ton zasadniczy w jego twórczości. Już i dawniej łkała jego lutnia... Przepomnijmy taką np. wizję własnego pogrzebu w sonecie p. t. „Marsz żałobny” z przed lat dziesięciu:

Oj, polały się żałobne tony
Wielkim hymnem serdecznej tęsknoty
Na łan żytni, na chlebny łan złoty,
Na mgły białe, na zachód czerwony...

A z tonami płynie przez zagony
Żal za rajem straconej pieszczoty,
Jakiś cichy, rzewny płacz sieroty
I modlitwy, i dzwony—i dzwony...

Idzie czarny karawan z kościoła—
To mnie wiozą w cichym dzwonów gwarze,
A tam dla mnie kopią dół grabarze,

A za trumną nikt nie idzie zgoła—
Tylko głucha na bóle człowiecze
W szarym kirze tęsknota się wlecze...

I ten dźwięk minorowy zagłusza wszystkie inne, bo, choć cichy jest, ale przejmujący dziwnie, jak niemy gest ofiary, schylającej bez słowa oporu głowę pod kosę śmierci. Bo nawet wtedy, gdy, zda się, życia pragnie i rozkoszy, w myśl zasady horacyuszowskiej: *Carpe diem*, jak np. w poemacie lirycznym: „Pieśń nad pieśniami”, ten hymn na cześć miłości i wesela, kwiecistej wiosny żywota i żarliwego lata zakończy zgrzytem, zmrozi szronem jesieni...

Była chwila, kiedy gwałtowny wicher wypadków dziejowych wstrząsnął i zatargał koronami cichych drzew na cmentarzysku uczuć i myśli poety, a ów przybytek łagodnego smętku rozświetlił łuną pożarów i brzaskiem nadziei. I wtedy z pod pióra jego wyszedł szereg nowel i obrazków, głoszących chwałę bohaterów-bezimiennych, poległych w walce o wolność...

Ale chwila minęła szybko. Pożary przysięły. Nadzieje zawiodły...

I znowu smutek gęściejszą jeszcze chmurą opadł na duszę poety.

Gdzież jest nasz sen o wicherze,
który przychodzi zdala
rybakom żagle rwąc?
Gdzież jest nasz sen o wicherze,
co wodom nie pozwala
na jednym miejscu stać?

Dziś morze jeszcze cichsze,
dziś jeszcze mniejsza fala...
Gdzież jest nasz sen o wicherze?

Gdzież jest nasz sen o burzy,
co wirem morskiej głębi
kadłuby statków gniew?
Gdzież jest nasz sen o burzy,
co oceany kłębi
i nieba ogniem rwie?

Dziś morze spokój wróży,
wysoki lot gołębi...
Gdzież jest nasz sen o burzy?

„Dwie są melancholie — mówi Słowacki w „Anhellim”—jedna jest z mocy, druga jest ze słabości; pierwsza jest skrzydłami ludzi wysokich, druga kamieniem ludzi topiących się”.

Melancholia Słońskiego jest z rodzaju mocnych i wysokich.

H. G.



Edward Słoński.



Zwał lodów przy moście warszawskim. Fot. J. Raczyński.



Sądy doraźne w Teheranie.

Na szerokim świecie.

Strajk pocztowo-telegraficzny we Francji.—Funkcjonariusz państwowy a robotnik fabryczny.—Rozkład rządu i państwa.—Blizki Wschód zmierzają ku pokojowi.—Przez Persję do bieguna południowego.—Znakomite wyniki ostatniej wyprawy.—Miłosierdzie przyszłości.

W chwili, kiedy lada dzień płomień wojny miał ogarnąć wybrzeża Dunaju, Sawy i Dryny, kiedy mógł się niebawem rozszerzyć na granice wschodnie i zachodnie innych państw, w chwili, kiedy po drutach telegraficznych biegła wiadomość o uruchomieniu dwóch korpusów na granicy Prus i Rosji, aparaty francuskie, telegrafy i telefony miejscowe spoczywały snem nieprawym, po pustych salach kręcili się niepewnie bezradni żołnierze. Dobrą chwilę wybrali urzędnicy pocztowi i telegraficzni do bezrobocia. Zwyciężyli. Rząd zachował tylko pozory, i to niezręcznie. Cofnął cały szereg uprzednich postanowień, przyrzekł pośrednio usunięcie zniechęconego przez personel podsekretarza stanu do poczt i telegrafów Simyana, obiecując zniesienie podsekretaryatu i zastąpienie go przez zwykły departament ministerjalny.

Zwyciężyli. Ale dla ojczyzny francuskiej prawdziwie to Pyrrhusowe zwycięstwo. Jako? Więc gdyby nieprzyjaciel stanął u skraju ziemi alzacko-lotaryńskiej, mógłby Paryż i Francję niespodzianie zaskoczyć? I, to z winy jej synów, i to z winy urzędników państwowych, którzy w pierwszym rządzie powołani są do zachowania i obrony porządku publicznego, do strzeżenia granic i całości państwa! Takby się zdawało, jeżeli i im także przyznać prawo do strajku.

Rzeczywistość i zwycięstwo zatwierdziły to prawo. Zatwierdzić go nie może żaden kodeks,

ani nawet poczucie zwykłego zdrowego rozsądku. Najniższego funkcjonariusza państwowego nie można nawet porównać z dołą najlepiej wyposażonego robotnika fabrycznego. Nic to, że nieraz więcej pracuje, nic, że nieraz gorzej jest płatny. Bo położenie jego przedstawia jedną zaletę pierwszorzędą, ni czem nie zastąpioną: pewność. Nie może usunąć go z miejsca ani kaprys zwierzchnika, ani przesilenie przemysłowe, ma zapewniony awans

regularny i odpoczynek peryodyczny z zachowaniem pensji, a kiedy przychodzi starość, z nią niezdolność do pracy, zapewnia mu utrzymanie emerytura rządowa. Tymczasem był wolnego robotnika fabrycznego to synonim niepewności, nietrwałości, nieustannej zależności od najdrobniejszych zdarzeń. Trzeba mu tedy przyznać prawo do użycia najpotężniejsze go oręża w walce o polepszenie bytu—bezrobocia; urzędnikowi państwowemu prawo do niepotrzebnej i niegodziwej, ale agitacyjnej i przykryj fabryk pcha go do strajku—lekomyślnego, bo zahaczającego o najważniejsze



Porucznik Shackleton.

interesy państwa. Zwycięstwo strajkujących urzędników pocztowo-telegraficznych to porażka rządu, który—jak się okazało—nie potrafi zapewnić bezpieczeństwa państwu, to oznaka rozkładu, do jakiego doprowadziły Francję kilkunastoletnie rządy radykalne, schlebienie tłumowi, przystosowywanie się do nlebezpiecznych przyjaciół ze skrajnej lewicy. W tym rozkładzie zaginęła cecha przeważna łaćńskiej kultury Francji: poszanowanie prawa.

Prócz dziewięciodniowego zamętu tym razem bezrobocie innych szkód nie przyniosło. Podczas gdy milczały telegrafy i telefony francuskie, po wszystkich innych goniły się depesze rozjemcze w zatargu austro-serbskim. I zażegnały go—prawie. Kosztem porażki dyplomatycznej Serbii i stojącej poza nią Rosji, kosztem zrzeczenia się

następstwa tronu przez ks. Jerzego, kosztem faktycznego, chociaż nieformalnego uzależnienia Serbii od Austro-Węgier.

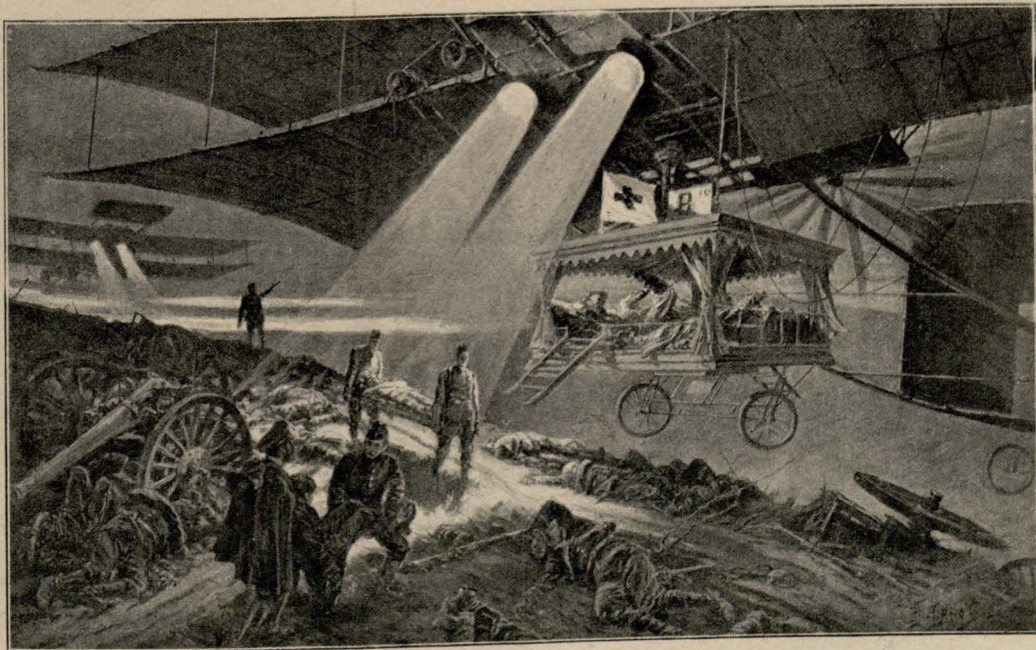
Zbliżająca się od blizkiego Wschodu groźna, lecz dziś już rozwiana prawie chmura zasłaniała nam wypadki na dalszym Wschodzie—mahometańskim. Szach wiernych nie może zdecydować się iść w ślady sułtana wiernych i szczerze poszukiwać lepszej przyszłości na szlakach konstytucyjnych. To cofa konstytucję, to ją znów przywraca; drażni ludność, nominując do komisji konstytucyjnej ludzi o zdecydowanych poglądach reakcyjnych. Tymczasem rewolucyoniści rządzą w Teheranie i kilku innych miastach; na ulicach Teheranu wybuchają nieustannie bomby. Towarzyszą im egzekucje sumaryczne, a razem wytwarza się z tego wszystkiego beznadziejna anarchia. Pamiętajcie analogię...

Gdy tam daleko wre wojna domowa, a bliżej słychać pobrzękiwania szabel i miarowe kroki maszerujących mobilizowanych wojsk, na skraju globu naszego niestrudzony geniusz ludzki wydiera znów naturze jedną z najściślejsz strzeżonych jej tajemnic. Anglia dumna jest z bohatera narodowego, porucznika Shackletona, który ze wszystkich dotychczasowych podróżników dotarł najbliższej do bieguna południowego. Był od niego na odległości 111 mil angielskich. Widział go prawie...

Wyprawa wyruszyła z Lyttleton na Nowej Zelandyi 1 stycznia 1908 roku. 9 stycznia roku biejącego zatknęła sztandar angielski w miejscu, położonem na 88° 23' szerokości południowej i 162° długości wschodniej. Tu był kres. Straszne burze śniegowe nie pozwalały posuwać się dalej. Ludzie chorowali i byli bez sił. A upragniony, niedościgniony cel tylu śmiałych wypraw był już tak blisko! Podróżnicy widzieli go przez lunety. Biegun południowy leży na olbrzymim płasko-



Ze strajku pocztowo-telegraficznego w Paryżu.

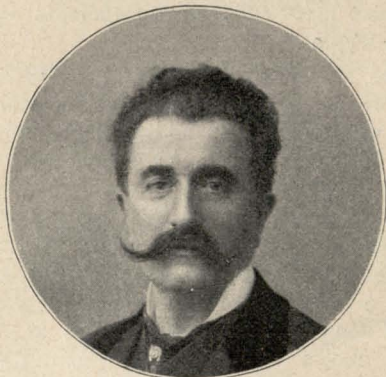


Miłosierdzie przyszłości.

wzgórzu, wznoszącym się na 3,100 mtr. nad poziomem morza. Inny oddział wyruszył na poszukiwanie bieguna magnetycznego. Odnalazł go wśród śnieżnych pustyń krainy Wiktorii, w miejscu, położonem na 72° 25' szerokości południowej i 154° długości wschodniej. Tyle wnioskować można z dotychczasowych telegramów, wysyłanych przez porucznika Shackletona już z drogi powrotnej. Tak daleko, jak ta wyprawa, żadna dotąd się nie posunęła.

Dziś tedy spodziewać się możemy, że doczekamy chwili, kiedy stopa ludzka, najpewniej Anglosasa, stanie na biegunie. Doczekamy jeszcze pewniej chwili, kiedy ludzie niszczyć się będą wzajemnie przy pomocy szybujących wysoko machin. A że szlakami zniszczenia kroczy zwykle spóźnione nieco miłosierdzie, więc możemy wyobrazić sobie koncepcję przyszłości, ogromnego dobroczynnego ptaka, niosącego nieszczęśliwym pomoc i ratunek. Nie potrzebujemy prawie dodawać, że to tylko fantazja, podczas gdy aeroplany wojenne blizkie są urzeczywistnienia.

PORTRETY NA DOBIE.



MIECZYŚLAW HORBOWSKI,

artysta-muzyk, znakomity pedagog, wychowawca licznych szeregu śpiewaków i śpiewaczek, których występy świadczą wymownie o doskonałej metodzie profesora, święcił w Krakowie 40-letni jubileusz swej owocnej pracy artystyczno-pedagogicznej.

Konkurs dramatyczny.

Dbłość nowej dyrekcji Teatrów rządowych warszawskich o dobro pierwszej naszej sceny dramatycznej widoczna jest na każdym kroku. Świadczy o niej, między innymi, ogłoszony w tych dniach konkurs dramatyczny teatrów warszawskich na utwór, prozą albo wierszem, z wyłączeniem krotowhili i wodewilu, posiadający „przy koniecznej wartości literackiej, przymioty sceniczne” i wypełniający cały wieczór. Nagród trzy: rub. 1000, 500 i 300, termin nadsyłania utworów 31 grudnia r. b. Sąd konkursowy, pod łaską nestora naszych krytyków dramatycznych, p. Władysława Bogusławskiego, stanowią następujące osoby: Zdzisław Dębicki, Mieczysław Frenkiel, Marian Gawalewicz, Czesław Jankowski, Gabriel Kempner, Józef Kotarbiński, Stanisław Kozłowski, Jan Lorentowicz, Ignacy Matuszewski, Władysław Rabski, Józef Śliwicki i J. A. Święcicki.

A że w tym samym czasie rozstrzygnięciem konkursu dramatycznego imienia Juliusza Słowackiego, ogłoszony przez *Kurier Warszawski*, plan więc tegoroczny na niwie Teatralnej może być obfity.

SAMOCHÓD „KURYERA WARSZAWSKIEGO”.



Najpoczytniejsze pismo nasze, *Kurier Warszawski*, usiłuje coraz bardziej przyspieszyć dostawę nowin ciekawym czytelnikom i pierwszy wprowadza obsługę samochodową.

Dwa projekty.

Zgon nieodżałowanego młodego muzyka, ś. p. Mieczysława Karłowicza, wywołał w Zakopanem dwa projekty.

Pierwszy z nich zmierza do uczczenia ofiary nieszczęsnego wypadku. Pp. Z. Czapliski, Wacław Sieroszewski, Jan Kasprówic, W. Zacharewicz, Gustaw Daniłowski, K. Brzozowski, Jan Skotnicki, Stefan Żeromski, M. Zaruski, Michał Sokolnicki, L. Mataszewski uznają za słuszne postawienie mu ze składek publicznych pamiątkowego kamienia w miejscu, gdzie zginął, i wzywają wielbicieli talentu zmarłego do wzięcia udziału w zbieraniu pieniędzy na cel powyższy. Ewentualna nadwyżka obrócona będzie na utworzenie stałej pomocy ratunkowej w Zakopanem.

I to jest właśnie projekt drugi, który powzięło inne grono osób, członków Towarzystwa Tatrzańskiego, projekt utworzenia w Zakopanem stałego Tatrzańskiego pogotowia ratunkowego; o jego potrzebie niech zaświadczą liczne wypadki, niejednokrotnie kończące się śmiercią.

Obydwa projekty popieramy jak najgoręcej i chętnie pośredniczyć będziemy w zbieraniu składek na wprowadzenie ich w czyn.

CUDOWNE SKRZYPCE.



Skrzypce wyrobu Ch. Cappa. Własność Towarzystwa wpisów szkolnych.



TAJEMNICZA ZBRODNIA W RZYMIE.



Fot. Szkoły polic. przy minist. spr. wewn. w Rzymie.

W małym pensjonacie rzymskim spełniono 27 lutego b. r. tajemniczą zbrodnię, której ślady tak dobrze zostały zatarte, że odkryto ją dopiero po trzech tygodniach. Zamordowany, jak się zdaje, Polak, ofiara zemsty politycznej, został otruty kwasem pruskim, a następnie zwłoki jego wtłoczono do wielkiego kufra, w pozycji, którą przedstawia nasza rycina po prawej ręce. U góry widać denatę już po dokonaniu obdukcji. Ponieważ nie stwierdzono jego osobistości, ważne jest szerokie rozpowszechnienie tego wizerunku, który może naprowadzić na ślad, kim był zamordowany.



Jeden z ostatnich.

Kiedy przed laty 60 naród węgierski podniósł oręż przeciw rządowi austriackim, gorętsza młodzież nasza wyrwała się ukradkiem z domów rodzicielskich i śpieszyła za Karpaty, by walczyć w szeregach obrońców wolności.

Część tych, co została przy życiu, doczekała przecież chwili, kiedy i tu, i tam łagodniejsze rządy nastąpiły. Dozwolono powrócić do kraju owym niedobitkom-tułaczom.

Najmłodszy z owych obrońców wolności osiąga lat 80 blisko. Z konieczności życiowej tacy



Franciszek Józef Bagiński.

nie mogą być już liczni. Z pod komendy generała Bema dwóch ich do niedawna pozostało przy życiu, a ze śmiercią ś. p. Franciszka Bagińskiego, pozostał jeden tylko jeszcze.

Urodzony w początku 1831 roku, w r. 1848, jako 17 letni młodzieniec, sam jeden potajemnie, ażeby nie narazić rodziców na prześladowanie władzy krajowej, zaprzęga konie i z wiernym sługą z głębokiego Wołynia dąży ku granicy pod pozorem jarmarku; dalej przedostaje się konno; przewodnik myli na granicy drogę, albo też rozmyślnie zaprowadza ich w bagna, skąd niemal cudem się ratują; przeszedłszy granicę, aresztowani przez Austriaków, więzieni, a następnie oswobodzeni przez gwardię narodową galicyjską, rozkwaterowani po dworach, oczekują chwili sposobnej, żeby się dostać na drugą stronę Karpat, strzeżonych pilnie przez straż austriacką. Przedostają się wreszcie szczęśliwie, zaciągają w szeregi generała Bema, walczą z różnym powodzeniem, a po nieszczęsnym końcu kampanii przechodzą granicę turecką, gdzie, rozbrojeni i internowani, oczekują długie miesiące rozstrzygnięcia losu.

Odtąd rozpoczyna się dla naszych legionistów nowy okres życia, pełen trosk o dach nad głową i o codzienny kawałek chleba. Brak fachowego przygotowania zmusza ich do podejmowania prac najpośledniejszych i najmniej popłatnych.

Tęsknota za krajem, nostalgia opanowywała wszystkich. Ś. p. Bagiński był tu o tyle szczęśliwszy, że znalazł serce szlachetnej Angielki, która, nie zważając na groźbę jej niedostatek, oddała mu rękę i obdarzyła rodziną, co łagodziło tę tęsknotę, ale potęgowało troskę o byt.

Młodzię wreszcie przetrwała wszystko. Nasz wygnaniec doczekał się chwili, kiedy po ukończonej wojnie krymskiej, wraz z rozpoczętą erą łagodniejszych rządów w Rosji, pozwolono mu wrócić do kraju. Osiadł na rodzinnym Wołyniu, gospodarząc na zagonie ojczystym, dopokąd wiek mu pozwalał. Wychowawszy synów i córki, spoglądając już na wnuków, przeniósł się do Nałęczowa, gdzie ostatnie lata życia swego przepędził i gdzie spisywał pamiętniki pełnego przygód życia, w czasie kampanii węgierskiej i na tułaczce. O ile wiemy, pozostała rodzina zamierza pamiętniki te ogłosić drukiem. H. W.

ZMARLI.

KAZIMIERZ PIETRAS. W dniu 26 marca r. b. zmarł po kilkoletniej piersiowej chorobie Kazimierz Pietras, malarz, który w początku swej kariery artystycznej zapowiadał zdolności pierwszorzędne, a stargany przeciwnościami losu, powiększył tak liczny w naszej sztuce poczet „zmarłych talentów”. Urodzony w Warszawie 1870 roku, wstąpił w 1888 r. do szkoły rysunkowej, gdzie odrazu stał się jedną z wybitnych sił swojej generacji. Uzyskawszy niewielkie stypendium, wyjechał do akademii Monachijskiej, nastę-



nie do Włoch. W czasie kilkoletniego tam pobytu namalował wielką ilość niewielkich, ze smakiem i artystem wykonanych rodzajowych obrazków, osnutych głównie na tle ulicznego życia Rzymu, Neapolu i Wenecji. Obrazy te chętnych znajdowały na miejscu nabywców, tak że zaledwie kilka mogło być wystawionych w Towarzystwie Zachęty. Około 1900 roku powrócił do Warszawy, już z zarodkami choroby, a wykształciwszy się zagranicą fachowo, jako restaurator starych obrazów, zajął się specjalnie tą gałęzią malarstwa, pracy tej poświęcił ostatnie lata życia. Zmarł w 39 roku życia, nie rozwinięty od natury otrzymanych zasobów, nie wypowiedziawszy ostatniego swojego słowa. Był on wyjątkowo uzdolnionym kolorystą, posiadał wiele smaku, elegancji w technice, a przytem temperament szczerzego artysty. H. P.

HR. GUSTAW PRZEWZDZIECKI, syn Aleksandra, zasłużonego mecenasa literatury i historyka, oraz Marii hr. Tyzenhauzówny, ur. w r. 1850, zmarł w Cannes d. 26 b. m. Zmarły brał żywy i czynny



udział w życiu filantropijnem naszego miasta; był przez lat kilka prezesem założonego przez brata, hr. Konstantego, Pogotowia Ratunkowego, prezesem i głównym założycielem Chrześcijańskiego Towarzystwa ochrony kobiet, któremu ofiarował w darze jeden ze swoich folwarków. Śmierć jego osierociła jedyną córkę, Sewerynową ks. Czetwerżyńską, małżonkę prezesa Centralnego Towarzystwa Rolniczego.

KAZIMIERZ SOCZOŁOWSKI, pożyteczny działacz prowincjonalny, zmarł w Noworadomsku w wieku lat 70-ciu przeszło. Był on prezesem straży ogniowej przez lat dwadzieścia kilka, pre-



zesem rady towarzystwa pożyczkowo-oszczędnościowego, gorliwym opiekunem ochrony, stał na czele towarzystwa wzajemnego kredytu, wnosząc na wszystkie stanowiska cenne zalety serca i charakteru, które jednały mu licznych przyjaciół.

REKLAMY

MEBLE STYLÓWE Maksymilian KALMUS
Marszałkowska 141, Tel. 28-87. Firma egz. od r. 1884.

LEOPOLD KOCH, MIODOWA 2.
„ENGLISH CLOTHING HOUSE.”

SKŁADY do przechowania mebli SYRENA
Kraków.-Przedm. 38

DWIE KULTURY.

Z POWODU OSTATNIEJ POWIEŚCI BARRÈS'A *)

Historia zwykła, powszednia, chciałoby się rzec prawie—błaha. Do Metz przybywa pruski „nosiciel kultury”, młody nauczyciel z Królewca, Fryderyk Asmus. Wynajmuje mieszkanie u pani Bandoche, staruszki Francuzki, pamiętającej jeszcze wojnę. Prusak cywilizuje się pod wpływem jej wnuczki, Coletty; ruguje ona z serca pruskiego narzeczoną królewiczką. Przedstawiciel zwycięzców składa jej w ofierze serce i rękę.

Siódmego września odbywa się w Metz doroczna uroczystość żałobna na cześć żołnierzy francuskich, ofiar wojny z Prusami. Cała stara Lotaryngia francuska łączy się dnia tego we wspólnych uczuciach rozpamiętywania i przywiązania do pnia ojczyzny. Pod sklepieniami odwiecznej katedry rozlegają się ponure dźwięki hymnu gniewu i smutku. Zda się, że uczestniczą w obchodzie opiekuńcze cienie mężnych wojowników Lotaryngii, wszystkich, co padli w obronie wschodniej placówki. Rozstrzygają się w tej chwili losy Coletty. Nie—ona nie może zerwać z tymi cieniami opiekuńczymi, z całą drogą i pełną chwały przeszłością, nie może stać się małżonką potomka najeźdźcy. Odmawia. Koniec.

Czy to powieść? Nie. Raczej pełne drobniactw, subtelnymi, a głębokimi obserwacjami studium o różnicy dwóch kultur, łacińskiej i germańskiej, ubrane w historię miłosną dwojga młodych ludzi.

Fabrykant powieści patriotycznych zrobiłby z postaci wrogów galeryę czarnych charakterów. Inaczej wytworny Barrès. Wprowadzi Prusaka, bo to plemię mieszane, w cywilizacji najmłodsze, a więc najbardziej chciwe, dziś wszechwładnie w cesarstwie niemieckim panujące, będzie najmocniejszym przeciwstawieniem wyższości kultury łacińskiej.

Ale tego Prusaka wyposaży we wszystkie niewątpliwe cnoty jego narodu: pracowitość, sumiennosc, systematycznosc, uczciwość, porządek innego wszakże porządku, niż latynofrancuski, poczciwość i dobrodusznosc. Jego Prusak ma nawet tolerancję. Składa dowód jej, kiedy nie karze dziecka, odmawiającego przeczytania ustępu z książki urzędowej o Napoleonie, bo dziadek mówił, że „to wszystko kłamstwo, że Napoleon był naprawdę wielkim człowiekiem”.

W taką tolerancję trudno uwierzyć Polakowi. Przypomnijmy drobny fakt z życia, podany przez *Kuryer Polski*. Dwie panie Polki w pensjonacie w Paryżu zawarły przyjaźń z Prusakiem. Bolał nad wyłączeniem, nad komisją kolonizacyjną, nad prawem językowym. Potępiał szczerze te akty swego państwa. Ale, kiedy poruszono sprawę wrześnią, strajk szkolny dzieci w Poznańskim, okazał się nieubłagany. W państwie niemieckim szkoła musi być wyłącznie niemiecką...

Mniejsza. Może idealizowanie takie ma strony dobre, bo wypukła tem bardziej różne śmieszności drobne życia Asmusa, różne niedelikatności, świadczące o niższej kulturze obyczajowej jednostki, gdy zbiorowość wyraża tę kulturę na-

jezdniczą w brzydkich, ciężkich, germańskich gmachach, szpecąc jednosc stylową wykwiłtne-go miasta, stolicy Lotaryngii.

Więc Prusak robi swej gospodyni uwagi, że się o trzy minuty spóźnia z kawą poranną, wraca późno do domu, trzaskając drzwiami,



MAURICY BARRÈS.

czasem zbyt pełen piwa, i tłumaczy się nawiązką, że „obyczaj pijaństwa” dzieli z całym swoim narodem. Na gwiazdkę przechwala się podarunkami narzeczonej: pół tuzinem części bielizny, której nazwę niechętnie wymieniały, z olbrzymimi monogramami, „jej” ręką haftowanymi, poduszką z wyszytym napisem *nur ein viertelstündchen* — ograniczeniem drzemki poobiedniej przez kochające serce— z „jej” włosów wyczesanych zrobioną. Razi to jego gospodynie, z tej samej średniej sfery pochodzące, ale wyższe o całą wyższość swojej kultury, jak rażą je niedźwiedziowate ruchy, ubiór, sposób jedzenia przybysza.

Drobnymi, subtelnymi, pełnymi umiarkowania rysami zaznaczone jest, jako tło obrazu, społeczeństwo francuskie Lotaryngii. Spokojne, pełne godności, odosobnione: kiedy cesarz odwiedza Metz, w okrzykach, w zdobieniu domów brak ciągłości; pustkowicie i milczenie wita go, kiedy przejeżdża ulicami, na których mieszkają Lotaryńczycy.

Konferencja Francuza z Paryża. Audytoryum chłonie literalnie jego wyrazy, wyprzedza niemal oklaskami ustępy patetyczne, a śmiechem—żarty, na grze słów oparte, aby dowiedzieć, że nie stały mu się obcymi najsubtel-

niejsze zwroty ukochanej mowy, że mieszkańcy Lotaryngii czują zawsze za jedno z odległą o miedzę macierzą.

A kiedy nadejdą piękne dni, kiedy zazielenią się złane obficie krwią francuską wzgórza Gravelotte, Saint Privat i inne, każda wybieżka za miasto jest hołdem, oddanym cieniem opiekuńczym przeszłości dawnej, wolnej ziemi wojowników i rolników.

Trwa Francja w Lotaryngii, bo wyższa i wolna kultura ostać się musi wobec niższej, najezdniczej, sztucznie narzucanej.

Pełne tęsknoty, cichej melancholii, ale i wiary w przyszłość jest piękne ostatnie dzieło Barrès'a. Nie zatrzymujemy się nad szlachetnością i zwięzłością stylu, nad malowniczością opisów, nad wysoką miarą artystyczną, która jedynie chroni autora od sentymentalizmu, tak groźnego przy wyborze podobnego tematu. Chodzi nam tylko o uwydatnienie strony publicystyczno-narodowej książki.

Dusza polska rozumie i kocha tego autora. Nasuwają się jej tysiączne analogie. Kształcimy się często zagranicą w środowiskach obu walczących z sobą na ziemi alzacko-lotaryńskiej kultur. Zdania co do ich wartości są podzielone, ale jednoczymy się z sobą i z autorem, kiedy chodzi o ocenienie ich walki na tym właśnie gruncie.

Pierwsze egzemplarze tej książki rozchwymano w Warszawie. To dobrze. Zasługuje na powodzenie. Płynie z niej wielka, wszechludzka, a jednak indywidualistyczno-narodowa nauka o czci dla zmarłych pokoleń, dla przeszłości, dla fundamentów i tradycji kultury swojskiej. Spadkobiercy przodków naszych, możemy wiernie i pewnie budować swoją przyszłość, jedynie snując ją z przeszłości, z tego, co było w niej wielkiego i dobrego, pięknego i bohaterskiego.

J. NITOWSKI:

NAD LEMANEM.

Nad wodą wielką i czystą
Wesołe śmieją się wzgórza;
A hen, w błękitnym przezroczu
Szczyt Białej góry się nurza.

W słonecznych blaskach kąpane,
Bieleją wille dokoła;
Z piętnem żałoby posępne
Cyprysy wznoszą swe czoła.

Nad wodą wielką i czystą
Mrok nocny cicho zapada;
W powietrzu dyszą magnolie,
I cicho szumi kaskada.

Na zboczach góry zasypia
Krzew winogrodu zielony,
Zasypia róża w marzeniach,
W półmroczu jęczą gdzieś dzwony.

Nad wodą wielką i czystą
Różowy świt się zapala,
Wiatr cichy powiał z zachodu,
Cicho kołysze się fala.

Barki, jak białe łabędzie,
Spokojnie płyną w dal mglistą,
I senne budzą się mewy
Nad wodą wielką i czystą.



Bitwa pod Gravelotte. Według społecznego rysunku Juliusza Kossaka. Z drzeworytu *Tygodnika Ilustrowanego* z r. 1870.

*) *Maurice Barrès*. Colette Bandoche, *histoire d'une jeune fille de Metz*. Félix Juven, str. 258.



Na niewielkiej łysinie gruntu stała kompania strzelców.

KONSTANTY GORSKI

JÓZEF WEYSSENHOFF:

UNIA

POWIEŚĆ LITEWSKA.

14)

Zastrzega się prawo przedruku.

Dopadały tymczasem psy z szalonym harmidrem. Szumlas i Śpiewka obok, złęczone jakby w jedno ciało dwugłowe, śmigły wyciągnięte, prowadzące gon i chór, rozpędzone po linii prostej. Wyłamały się z gąszczy inne łby zaciekle, tropiące po ziemi, dzikie w ślepiach. Ale w pobliżu nor lisich wszczęło się w pościgu zamieszanie. Lutnia dopadła aż do nóg Krystyny, stanęła i spojrzała jej w oczy, żałośnie skomląc, niby z zapytaniem, gdzie lis. Ujadanie przycichło, psy kręciły się rozpaczliwie w różnych kierunkach, żaląc się, odrywając łby od ziemi, zdumione, że trop straciły. Aż na miejscu, gdzie uprzednio zobaczyła Krystyna lisa, rozległ się lament nieutulony:

— Aj, jaj jaj jaj jaj jaj...

I czarną błyskawicą przemknęło na prawo ściągłe ciało wytrawnej suki. Poprawiła Piskla.

— Tu, tu! — potwierdził rozkazującym basem Organ, rzucając się w ślad na prawo.

W mgnieniu oka zawrócone, ściągnięte w jeden kłęb, rozegrane ponownie, puściły się; wszystkie psy poprawionym śladem.

I buchnęła pieśń, pościgu pełna, zgodna z wtórującym lasem.

Pośród pieśni nagle, głucho stęknął bór. Gon wzmógł się jeszcze, trwał przez minutę, ale powoli zapadał się przepastnie w ciszę. I pochłonęła go cisza.

— Zabity—rzekł ponuro Kazimierz do Krystyny, łamiąc strzelbę i wyjmując ładunki.

— Ale nie przez nas!—odpowiedziała żałośnie.

Spojrzeli na siebie. Byli oboje bardzo bladzi, wyczerpani przez silne wzruszenie, zawiedzeni w swych łowieckich ambicyach. Patrzyli tak sobie w oczy, biadając, że stało się źle. Ale wkrótce on zaczął myśleć, że Krystyna jest przecie cudowna z temi tragicznymi oczyma, a ona, że Kazimierz patrzy jasno, nic nie udaje i martwi się, jak dzieciak. I z wzajemnych spostrzeżeń wynikała nagle pogoda ich twarzy, a z pogody trysnął śmiech. Zaśmieli się serdecznie ze swych krwiożerczych instynktów, a uradowali się, że są tu razem, że świat jest dziko piękny.

— Przepraszam pana. Widzę, że pan

jest dobry, bo umie nawet wyrzec się czegoś dla kogoś—rzekła Krystyna, roziskrzając spojrzenie nieklamana wdzięcznością.

— Ależ pan! taki drobiazg...—odpowiedział Kazimierz.

Przypomniał jednak, że przed chwilą całej nateżonej woli musiał użyć, aby nie zniecierpliwic się. Za to teraz wieszował sobie, że tak postąpił.

Od strony, gdzie padł strzał, dochodziły zmieszane głosy, nie tłumione już przez podstępne oczekiwanie, tryumfalne.

— Pójdźmy zobaczyć lisa—rzekła pani Krystyna.

— Pójdźmy. Oczywiście, co się stało na norach, opowiadać nie będziemy.

— Dobrze—skłoniła głowę Krystyna, na nowo ujęta przez delikatność Kazimierza.

Na niewielkiej łysinie gruntu pod cieniem wspaniałych jodeł stała już kompania strzelców, zebrana bez hasła trąbki, na odgłos śmiertelnego strzału. Myśliwi wyższego chóru byli w komplecie, strzelcy miejscowi ściągali się z różnych miejsc puszczy. Jurko Lejtan, jakby przyjechał

na grzbiecie ogara, stał tu już snadź od pewnego czasu, gdyż zdążył zapalić fajkę. Pośród koła myśliwych leżał rozciągnięty na mchu trup starego lisa, mierzący zapewne dwa łokcie od zgryźliwego pyska aż do końca puszystej kity.

Dość było rozejrzeć się po obecnych, aby zgadnąć, kto go zabił. Pan Gotard Assernhof raczył właśnie obecnych opowiadaniem:

— Ja tu myślę, że jestem w loży dla słuchania opery, bo gon idzie wyraźnie na nory, aż słucham—coś się zahaczyło; patrzę—aż wyrywa idyota rzadkim lasem—o tam pod dębem, a Piskla prawie że za kitę go trzyma! Dałem się złodziejowi odsadzić jeszcze o parę susów, żeby zacnego psa nie postrzelić—no i jest.

— Pięknie pan baron strzela!—rozzewniał się Jurko Lejtan, jakby uważał zabicie śrutem lisa na rzadkim lesie za niepospolitą sztukę strzelecką.

— Co?—rzekł pan Gotard—niczem nieboszyk księżę Mikołaj? A fajka nowa będzie, będzie, Jurku.

Wyjął z kieszeni papierek trzyrublowy, po którego otrzymaniu Jurko jeszcze bardziej się rozrzewnił.

Dopiero teraz zacierzewiami myśliwi spostrzegli, że przybywa do ich grona niespodziewana tutaj pani Krystyna w towarzystwie Rokszyckiego. Odkryły się wszystkie głowy, a pan Gotard zwrócił się do przybywającej:

— A to mamy i wyjaśnienie zagadki! Stanęła pani na norach, obok Rokszyckiego?

— Staęłam.

— Zaszczytne wyróżnienie! Za to mi pani przysłała lisa. Ściele pod stopki zdobyty kobierczyk.

IX.

Ponieważ pani Krystyna oświadczyła, że znowu chce pozostać obok pana Rokszyckiego, Miś Zasławski, kierujący rozstawianiem myśliwych, wyznaczył Kazimierzowi takie nowe stanowisko, na które lis przyjszyby chyba mógł dla podziwiania krajobrazu. Była to polana nad małym jeziorkiem, zatrzymanem przez wybryk przyrody na wysokim wzgórzu pośród lasu. Ciemne było, jak smoła, ku brzegom nieco tylko zieleniące od naturalnych wałów z darni, które cembrowały to oko leśne, głębokie—powiadano—jak piekło. Musiało mieć podziemne dopływy, gdyż nie schło nigdy, ale przesączało się strumykiem w spadzisty wąwóz, nad którym stała chata leśnika, Sidorkiewicza. Stąd też jezioro nazywano „pod Sidorkiewiczem”.

Zostawiając Kazimierza i Krystynę na polance przy tem jezioru, Miś Zasławski dawał instrukcję:

— Pilnuj, Kaziu, lisa, jak przyjdzie tu się kąpać. Jeżeli pośpiejesz, pal na brzegu, a nie—to wpław.

— Dobrze, dobrze—odpowiedział Rokszycki machinalnie, zapominając zupełnie o swej godności strzeleckiej.

— A Krysia może tymczasem upatry-

wać po gałęziach. Czasem się zdarza, że i po drzewie lis przyjdzie.

Jeszcze nie skończył, gdy dostał pocisk szyszką, którą cisnęła w niego Krystyna. Ale zgrabny urwisz szyszkę chwycił w rękę, jak piłkę, i, poskoczywszy ku Krystynie:

— Proszę jaśnie pani—rzekł, przedrwiwając—pani zgubiła? A przydać się może na lisa.

— Idź już sobie!

— Tak ci pilno? Zaraz. Muszę powiedzieć seryo. Nie śmieć się ty, Kaziu, z tego stanowiska. Lis może przejść i tutaj—o tam w wąwóz. Jurko mówi, że księżę Mikołaj zabił tu mało trzydzieści lisów. Tylko to było w roku, kiedy, co człowiek zęłgał, to się na złość sprawdzało.

Ukloniwszy się ironicznie, oddalił się, biegnąc w przesadnych susach, oglądając się za siebie, jak chochlik. Właściwie nierad był z Kazimierza, że niedość poważnie traktuje polowanie, a z Krystyny, że ciągle trzyma się z Kazimierzem.

— Wesoły chłopiec—rzekł Rokszycki.—Lubi go pani?

— Lubię wogóle młodych. Jeszcze w nich coś jest z człowieka, jakim go Bóg stworzył. Chociaż już w tym...

Machnęła ręką.

— To krewni pani Zasławscy?

— Księżna wymyśliła jakieś powinowactwo Sołomereckich z Zasławskimi. Żeby był brzydsza, nie byłabym krewną.

Kazimierz rozśmiał się serdecznie z trafności uwagi, a zarazem i z otwartości pani Krystyny.

Ale ona spojrzała na niego poważnie:

— Tak jest, panie—tacy są ludzie.

Po zacięgnięciu rozmów rozstawiających się myśliwych, po oddaleniu się nawoływań Jurka zaczynało tu być, jak w bajce. Jakieś zakłete jezioro, jakiś las jodłowy, pnący się po wzgórzu aż pod niebo... Ale fraszka las, jezioro—to ostatecznie już się gdzieś widziało. Tylko nigdy nigdzie nie znalazł się Kazimierz w takiej ogromnej ciszy wobec takiej kobiety rozkosznie zadziwiającej.

„Nie trzeba jej brać zupełnie na seryo”...

Te słowa księżnej Zasławskiej powróciły mu teraz na pamięć natrętnie. Ale odpowiedział sobie w myśli, że kwestya zbyt jest pociągająca, aby jej sam nie starał się zbadać. Woli sobie wierzyć, niż tej księżnej.

Zaczął od byle czego:

— Widzę, że pani już polowała, albo towarzyszyła myśliwym?

— O tak! Polowałam niemało; strzelałam już kaczki, cietrzewie, pardwy—ale to jeszcze w Taborowie z ojcem. Tu nie mam z kim.

— Ja nigdy pardwy nie widziałem, a poluję od dzieciństwa. A gdzie to Taborów?

— Prawda!—rozśmiała się Krystyna—pan mnie wcale nie zna; dowiedział się zapewne o mnie wczoraj, że żyję... Taborów był majątkiem mego ojca, potem brata.

— Teraz już nie...?—zaczął pytać Kazimierz, ale się zatrzymał przed ciemniejącym spojrzeniem Krystyny.

— Już nie. Brat mój sprzedał Tabo-

rów i mieszka w Paryżu. Chciał sprzedać i Auszrę,—o tę, gdzie jesteśmy,—ale ja nie dałam.

Kazimierz przerwał, domyślając się, że w tych rachunkach rodzinnych tkwi jakiś przedmiot smutny, może i drażliwy.

— Trzebaby jakoś się umieścić na wypadek, gdyby znowu psy ruszyły.

— Wątpię, bo już rosa oschła—odpowiedziała Krystyna—ale usiąśćby można.

Poszukali oczyma, czy niema gdzie ściętego pieńka—Las przy polanie składał się z samych masztów, nie tkniętych przez ludzi, ani przez żywioły.

— O tak, poprostu!

Nawpół usiadła, nawpół się położyła na pochyłości gruntu, usłanej suchym wrzosem, w cieniu.

— Niech pan także usiądzie—o tu—Wolę, gdy rozmawiam o czemś ważnym, patrzeć prosto w oczy.

(DCN)

J. J. BELL:

Robak i jego żona.

— Osieł z pana, głupiec, niedołęga, zakuta głowa, idyota!

Tu stary adwokat zatrzymał się, czy to skutkiem braku tchu, czy też wyczerpania narazie zapasu wymysłów.

— Przepraszam pana, panie Clamp—odparł maty człowieczek, stojący przy biurku, spuściwszy oczy—myślałem...

— Pan zawsze tylko myślisz, ale nic zrobić nie umiesz! Proszę się wynosić i nie spóźnić jutro do biura.

— Postaram się, panie Clamp.

— Idyotyzm! Kpię sobie z pańskich starań! Przyjść jutro o dziewiątej do biura i tyle!

* * *

Tomasz Humphry, dependent adwokata Clampa, liczył już 41 lat życia, ożenił się jednak dopiero przed sześciu tygodniami. Pojął żonę o pięć lat młodszą, o kilka cali wyższą, a o dwadzieścia procent tęższą od siebie. Ładną przytem i dobrą.

Jakim sposobem zdołał przy nieśmiałości wrodzonej oświadczyć się o jej rękę, sam nie wiedział. Czuł jednak tęsknotę nieprzewycięzoną do towarzyski życia, zaryzykował więc i po tygodniu od chwili ślubu ubóstwił już żonę. A i Kate, której ciężło staropanieństwo smutne, przywiązała się szczerze do nieśmiałego i drobnego wzrostem małżonka.

— Co za dzielna z ciebie kobietka, Kate!—mawiał dependent, zapatrzony w żonę, po powrocie ze skromnej wycieczki poślubnej.

— Ale za to ty, Tom, jesteś zanadto uległy i łagodny—odpowiadała, i oboje uśmiechali się do siebie zakochani.

* * *

Wszedłszy do przedpokoju, Tom powiesił z taką siłą kapelusz na wieszadle, że Kate, stojąca we drzwiach pokoju bawialnego, zawołała z uśmiechem:

— Dobrze się stało, żeśmy nie kupili tych wieszadeł z rogów antylopy, które tak ci się podobaly. Miałbyś w kapeluszu dziurę.

— Oj, to prawda—odparł, trąc ręką czoło i usiłując odpowiedzieć uśmiechem na uśmiech żony.

— Znowu stary brutal przyczepił się do ciebie?

— Ech, niema o czem mówić. Jak zwykle. Spojrzała na niego smutno, lecz nic nie odpowiedziała. Dopiero gdy skończyli kolację, a Tom,

wypaliwszy fajkę i przejrawszy dziennik, zabierał się do wstania od stołu, poruszyła sprawę, gnębiącą ją od chwili ślubu.

— Tom—rzekła, nie przerywając szycia—dlaczego pozwalasz, aby Clamp tak cię poniewierał? Tom milczał zaczerwieniony, nareszcie wyjąkał:

— Trudno, Kate. Muszę zarabiać na życie. Nie mogę pozwolić sobie na kłótnie. A nużby mnie wyrzucił? Płaci mi nieźle...

— Otóż nie, mój kochany. Nikt nie ma prawa dokuczać pracownikom swoim. Jeżeli zaś stary brutal płaci ci dobrze, to bez wątpienia nie za darmo. Powiem ci wprost. Powinieneś już dawno być współnikiem Clampa. Pracujesz od lat osiemnastu w kancelaryi jego...

— Ależ, moja droga...

— Przepraszam—przerwała, lekko zarumieniona pod wpływem wzruszenia—pozwól, że skończę. Gdybyś założył własną kancelaryę, to Clamp postradałby przynajmniej połowę klientów.

— Nie, nie, Kate—westchnął Tom, pdrżając głową—Wytrzymałem już lat osiemnaście i wytrzymam jeszcze...

— Nie wytrzymasz już ani jednego miesiąca. Słuchaj, Tom. Jeżeli jeszcze raz przycepi się do ciebie, powiesz mu, że nie pozwalasz, aby poniewierał tobą, i że, jeżeli nie zrobi cię współnikiem, to ojedziesz od niego!

— Żartujesz chyba, Kate! Nie znasz Clampa. Gdybym mu to powiedział, to wzięłby mnie za szaleńca i—miałby rację!

— A ja ci powiadam, że takich ludzi, jak on, nie można traktować inaczej. Potrzebuje nuczki, i ty mu jej udzielisz.

— Ja?—zawołał Tom przerażony.

— Tak, ty, mój kochany.

Milczenie zapanowało w pokoju.

— Kate—odezwał się po chwili Tom smut-

nie—znał w końcu żonie.—Zwymyślał mnie Bóg wie za co. Jutro jadę w interesie jego do Perryburu. Wrócę dopiero późnym wieczorem. Zapowiedział, że, jeżeli nie zatwierdzi interesu pomyślnie, to mnie wyrzuci.

— Nie myśl o tem, kochany Tomie—odparła Kate—jesteś rozdrażniony. Bądź pewien, że wszystko pójdzie dobrze.

* * *

Adwokat Clamp zajęty był właśnie czynnością przyjemną pisania groźnego listu do nieszczęśliwego biedaka, dłużnego jednemu z klientów jego trzy funty, dwanaście szylingów i jedenaście pensów, gdy chłopiec biurowy wślizgnął się do gabinetu, oświadczając, że pani jakaś przyszła z interesem.

— Jak się nazywa? Co za interes?—spytał szorstko adwokat chłopca, niedawno przyjętego. U Clampa wogóle chłopcy zmieniali się często.

— Powiedziała, proszę pana—odparł chłopiec, śmiejąc się w kułak—że nazywa się pani Robakowa.

— Czego śmiesz się, idyoto!

— Naprawdę, proszę pana, tak się nazwała.

— A czego chce?

— Albo ja wiem? Powiada, że ma interes osobisty.

— Głupi! Poproś ją, a z końcem tygodnia możesz poszukać sobie innego miejsca, ośle!

Chłopak wprowadził nieznajomą do gabinetu, postawił dla niej krzesło przy biurku pryncypała i odszedł.

— Dzień dobry—rzekła wchodząca.

— Dzień dobry pani—odparł Clamp, kiwnąwszy lekko głową—co panią sprowadza?

— Przepraszam, dlaczego to pan nie raczy powstać z krzesła, gdy kobieta wchodzi do pańskiego gabinetu?

Adwokat osłupiał. Obwisała twarz jego stała się purpurową.

— Przepraszam—mruknął wreszcie.

— Przyjmuję przeprosiny, ale pod warunkiem, że pan będzie grzeczniejszy na przyszłość.

Purpurę na twarzy adwokata zastąpiła błałość wściekłości.

— Czego pani życzy sobie? — ryknął głosem, przed którym drżeli mężczyźni.

— Proszę, niech się pan tylko nie unosi!

Rzucił na nią spojrzenie piorunujące, ale szare oczy nieznajomej patrzyły na niego spokojnie i badawczo, lekki zaś uśmiech igrał na jej wargach.

— Do czego pani dąży? dlaczego pani zawraca mi głowę?—rzucił brutalnie.

— Chciałam—odparła—przekonać się, czy pan jest istotnie taki straszny, jak opowiadają. Ale widzę tylko brutalność i krzykliwość.

— Oszalała!—ryknął Clamp głosem zdławionym i nacisnął silnie guzik dzwonka. Chłopiec biurowy stanął w progu.

— Powiedz tej pani, aby wyszła.

— Dobrze, proszę pana—odparł chłopak i spojrzął na interesantkę wzrokiem pytającym, nieznajoma jednak nie ruszała się z miejsca.

— Powiedz tej pani, aby wyszła, idyoto!

— Kiedy, proszę pana—odparł chłopiec zakłopotany—ta pani wyjść nie chce!

— Wyprowadź ją natychmiast, durniu, albo... Chłopca ogarnęła rozpacz.

— Wyprowadź ją sam, stary głupcze!—zawołał i uciekł.

Nieznajoma zbłądła trochę, ale nie spuszczała oczu z Clampa. Adwokat uniósł się na fotelu i opadł na niego. Uniósł się znów i znów opadł. Zdawało się, że rzuci się na nieznajomą.

— A może otworzy pan okno i zawoła policję—rzekła spokojnie.

— Gdyby pani nie była kobietą...

— Tak, gdybym była mężczyzną, to może użyłby pan zwykłego sposobu swego: wymysłów i przekleństw. Ale pan tego nie uczyni. Nie

obawiam się pana, a nawet powiem, że raczej pan mnie się boi. Bo pan bierze mnie za szaloną, ponieważ śmiałam stawić czoło brutalności pańskiej. Ale dajmy już temu spokój. Przystąpmy do rzeczy. Oto żądam lepszego obchodzenia się z mężem moim i dopuszczenia go do spółki w interesie pańskim.

— Z mężem pani?

— Tak, z mężem moim, a dependentem pańskim, panem Tomaszem Humphry.

W ciągu paru sekund panowało milczenie grobowe. Wreszcie Clamp wybuchnął:



— Wyprowadź ją sam, stary głupcze!

— Co za bezczelność i bezwstyd! Gdyby pani nie była kobietą...

— Głupstwo, idyotyzm! Przepraszam, że pozwalam sobie cytować wyrażenia, używane zwykle przez pana.

Clamp ścisnął konwulsyjnie poręcz fotelu.

— Pan Tomasz Humphry—syczał, trzęsąc się z gniewu—może poszukać sobie od miesiąca innej posady i może podziękować za to—pani! Rozumie pani? Od miesiąca niema u mnie dla niego miejsca!

— Dobrze, opuści miejsce u pana od miesiąca, ale sądzę, że byłoby lepiej, gdyby pozostał. Uprzedzam pana, że nic nie wie o odwiedzinach moich tutaj. Skoro się jednak dowie, bez wątpienia posłucha rady mojej i założy kancelaryę własną. A byłoby mi przykro, gdyby pan miał zostać na stare lata bez klientów, bo, że wszyscy lepsi klienci pańscy przeszliby do męża mego, znając go od lat osiemnastu, tego jestem pewna. Dodam wreszcie, że tak ja, jak mąż mój, posiadamy trochę pieniędzy uciulanych. To nam wystarczy...

Adwokat zmienił się nagle. Przed chwilą buchający gniewem, siedział teraz w fotelu skurczony i bezsilny. Widok ten wywołał w duszy Kate także reakcję nagłą. Uczuła się wyczerpaną zupełnie. Powstała nagle z krzesła.

— Odchodzę—rzekła—Powiedziałam już wszystko, co miałam do powiedzenia. O odwiedzinach moich nie powiem mężowi. Chyba, że pan postanowi inaczej. Mąż mój wraca o dziewiętej wieczorem. Spodziewam się, że przed tą godziną nadejdzie list od pana do niego. Żegnam.

* * *

Tom wrócił do domu strudzony i znękany.

— Nie udało się—zawołał.—Clamp będzie jutro wściekły! Co to za list?—dodał po chwili, zasiadając do kolacji i widząc kopertę na talerzu swoim.

Otworzył kopertę, przeczytał list i padł na krzesło.

— Kate—szepnął głosem wzruszonym, podając list żonie—przeczytaj.

A Kate, której głowa pękała z bólu, zaśmiała się dziwnie i wybuchnęła płaczem.

Przeł. S. BARSZCZEWSKI.



— Jestem tylko robakiem marnym, wołem roboczym i tyle.

tno—jestem tylko robakiem marnym, wołem roboczym i tyle!

— Wszyscy jesteśmy robakami marnymi, ale i robak się wije, gdy go nadepcą!

— Prawda, Kate, prawda, ale widzisz, ja nie mogę!

— Spróbuj.

Tom spojrzął na żonę z wyrazem bojaźni, ale i zachwyty w oczach.

— Nie, to byłoby szaleństwo, a nużby mnie wyrzucił?

Kate zaśmiała się.

— A ja ci powiadam, że nie uczyni tego. Będziesz jego współnikiem. Już widzę na drzwiach kancelaryi tabliczkę mosiężną: „Clamp i Humphry”. Tylko się nie bój brutala. Jak tylko cię zaczepi, wsiądź ostro na niego. Obiecuj mi, że tak postąpisz.

— Spróbuję, Kate, spróbuję—weschnął zrezygnowany.

Ale miesiąc upłynął, i skończyło się na obietnicy.

Pewnego wieczora Tom wrócił do domu znębiony bardziej, niż kiedykolwiek.

— Clamp wściekł się dzisiaj prosto!—wy-

NADESŁANE.

11 medali, Dyplom honorowy 1908 r.
APTEKA E. GESSNERA

27. Jerozolimska 27
w Warszawie

HAEMATOGEN

w płynie, pigułkach,
tabletkach,
czekoladzie

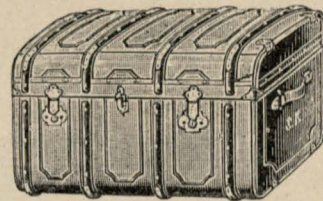
MEBLE

ZAŁĘSKI i S-ka
Warszawa, Erywańska Nr 2,
parter, 1 i 2 piętro. Telefon 16-39. Rok założ. 1870.



STANISŁAW KRAUSE i S^{KA}

FABRYKA I MAGAZYN
WSZELKICH PRZYBORÓW DO PODRÓŻY
Warszawa, Królewska № 1 (róg Krakowsk.-Przedm.)
JEDYNA W KRAJU FABRYKA KUFRÓW TRZCINOWYCH.



MYDŁO Z MLEKA LILIOWEGO „KONIK”

BERGMANN i S^{KA} RADEBEUL-DREZNO

daje rumiany, młodzieńczo-swieży wygląd.
czystą, białą, miękką jak jedwab skórę oraz
delikatną, osłepiająco piękną cerę.
Po 50 kop. dostać można wszędzie.
Główny skład na Państwo Rosyjskie:
Biuro chemicznych preparatów St.- Petersburg, Newski 28, dom Sinnera.



Zdzisław Zdanowicz

Kraków, ul. Sławkowska 3,
poleca w wielkim wyborze
Kufry, Necessery, Plaidy.



Sarga

KALODONT

NIEZBĘDNY

KREM DO ZĘBÓW

zbadany przez urzędy lekarskie.

(Wiedeń 3 czerwca 1887 r. i Paryż 3 kwietnia 1890 r.). Przy użyciu zęby pozostają czyste, białe i zdrowe.

Zdrowie mieli i szczęśliwi byli pradziadowie nasi, kiedy pijali stary sło-
wiański trunk

MIÓD

Olbrzymie zapasy starych miodów w 1-ej chrześcijańskiej fabryce miodów

W. WYSOCKIEGO

w Warszawie, ul. Podwale Nr 25.

Dostać można: Warszawa, Wysocki Podwale Nr 25, Handel Win, Mazowiec-
ka Nr 3 i we wszystkich znaczniejszych handlach i restauracjach Warszawy
i Królestwa. Petersburg: Sienkiewicz, Czernyszew.-Perełok Nr 14, Milwid,
Mikołajewska Nr 31; Kuźmin, Kazańska Nr 20. Wilno: Stempkowski, Rym-
kiewicz, Gruzewski, Dawidowski, Veritas. Kijów: Paszkow i Synowie. Brjańsk:
Grabowski. Ryga: Rathel. Odessa: Bratkowski, Kobleńska Nr 40; Witanow-
ski, Ryszajewska Nr 19; Tomaszewski, Sadowa Nr 16. Charków: Jampolski.
Moskwa: Pawłowski, Dołgorukowskaja. Ekaterynostaw: Bobowicz; Dzygit;
Zaporożcew i t. d.

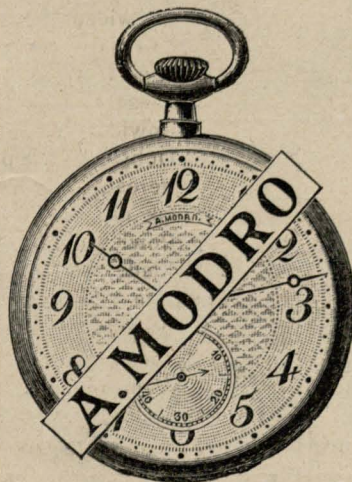
Farbiarnia Parowa, Pralnia Chemiczna i Dezynfekcja Ch. GEBER w Grochowie

Magazyny w Warszawie: Niecała Nr 9; Nowy-Świat Nr 49; Sienna Nr 2a; Leszno Nr 4; Długa Nr 19; Chłod-
na Nr 18; Długa Nr 7; Praga Brukowa Nr 32. Filie: Łódź, Zielona Nr 5; Częstochowa, II Aleja Nr 34.

HOTEL SAVOY

W WARSZAWIE, NOWY-ŚWIAT
Elektryczność, Winda, Kąpiele, Restauracja pod
własnym zarządem. Centrum miasta.

PATKOWSKIE ORYGINALNE, B. PŁASKIE
I W BRANSOLETACH



BUDZIKI KIESZONKOWE NIEZBEDNE DLA LU-
DZI PUNKTUALNYCH, TOWAR PIĘKNY SOLIDNY
GWARANTOWANY.
PIERWSZE ŹRÓDŁO! CENY FABRYCZNE!
Warszawa, Marszałkowska 151.

HURTOWY I DETALICZNY
SKŁAD SUKNA I KORTÓW

LEONA MESSINGA

MIODOWA № 7

poleca modne materyały krajowe i angielskie. Na
provincję wysyła za zaliczeniem pocztowem.

DLA KASZLĄCYCH I OSŁABIONYCH
EKSTRAKT I KARMEŁKI

LELIWA

w Warszawie, ulica Zielna Nr 21, Telefonu Nr 59-54.
SPRZEDAŻ W SKŁADACH APTECZNYCH I APTEKACH.

Zadanie, mające za cel wywołanie porostu włosów, pozostało dotychczas nierozwiązane, pomimo po-
ważnej i opartej na zasadach naukowych pracy w tym kierunku. A jednak są pewne pomysły wyniki
w tej mierze. Nie ulega bowiem wątpliwości, że można spowodować

porost włosów

jeśli istnieje jeszcze t zw. cebulka. Chodzi tylko o środek wzmacniający, czyszczący skórę i usuwa-
jący łupież. Te właśnie zalety posiadają esencja i MYDŁO „TATARO-CHMIELOWE”, wyrabiane w „Cen-
tralnym Laboratorium Chemicznym” (Czekay i Krysiewicz) w Warszawie przy udziale sił Lekarskich.
Sprzedaż w składach aptecznych.

J. WAPIŃSKI MAGAZYN JUBILERSKI Krakowskie-Przedmieście Nr 19
dom własny

BOGUSŁAW HERSE

MARSZAŁKOWSKA 150

POLECA

PO POWROCI Z PARYŻA

NOWE MODELE

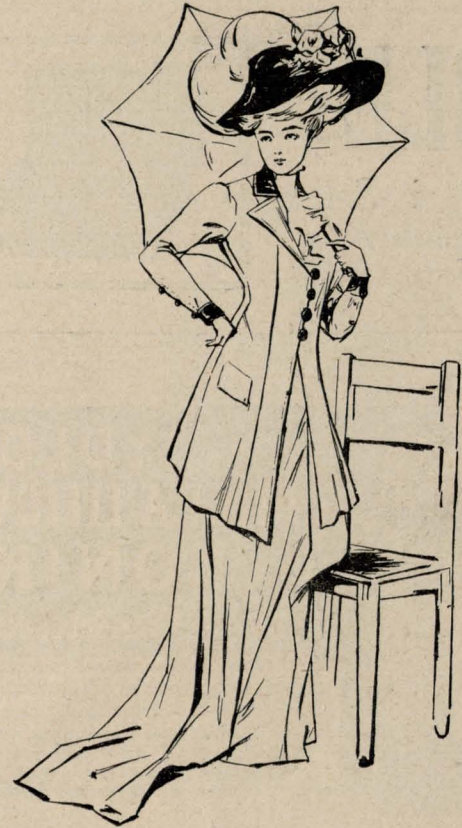
SUKIEN
KOSTYUMÓW
OKRYĆ
PŁASZCZY

NOWE MODELE

KAPELUSZY
i
DUŻY WYBÓR
WYKWINTNYCH KOPII
OD SKROMNYCH KAPELUSZY
PODRÓŻNYCH
DO STROJNYCH KAPELUSZY
WIECZOROWYCH

OSTATNIE NOWOŚCI we wszystkich działach

WEŁNY NA KOSTYUMY
MATERYE NA SUKNIEN
== NOWOŚCI ==



SUKNIEN

MODELE od:

Agnès
Beer
Bernard
Béchoff David
Callot Soeurs
Chéruit
Corné
Doeuillet
Doucet
Drécoll
Francis
Laferrière
Linker
Martial Armand
Paquin
Poiret
Poret

KAPELUSZE

MODELE od:

Alphonsine
Camille Roger
Caroline Reboux
Carlier
Georgette
Lewis
Loys
Pouyanne
Suzanne Talbot
Viot

S. GLIŃSKI 41 Nowy-Świat 41

Poleca:

Pastę „BON TON,” Szuwaks, Smarowidło i Glazurę do obuwiu. Pomadki, Proszki i Płyn „FENOMEN” do czyszczenia metali, Atramenty, Tusze, Gumę arabską, Oliwę do maszyn i t. p.

SERWISY STOŁOWE

Rub. 35, 40, 45, 50, 55, 60, 65 i t. d.

SKŁAD I WŁASNA MALARNIA PORCELANY,
SZKŁA I FAJANSU

STANISŁAWA GORSKIEGO,

Nowy-Świat 37. Tel. 3631. Proszę zwrócić uwagę na firmę i adres
Poleca ogromny wybór serwisów stołowych, platerów, szkła, majoliki, terrakoty. Ozdoby do mieszkań i ogrodów. Własna malarnia wykonywa artystycznie całkowite wyprawy ślubne oraz fotografie wieczne na porcelanie. **UWAGA:** Każdy kupujący serwis porcelanowy otrzymuje bezpłatnie komplet dobrego szkła na 12 osób

**LUDWIK SZUFA
KRAWIEC**
KRAKÓW TELEFON 671

PASTILLES
DE

**TAMAR
INDIEN
GRILLON**

PARIS, 33, RUE DES ARCHIVES.

We wszystkich składach aptecznych i aptekach.

Owoc przeczyszczający
PRZECIWI
OBSTRUKCYI

Sprzedaje się w pudełkach po 12-cie pastylek i pół-pudełkach po 6 pastylek z podpisem



E. UNIERZYSKI

CHMIELNA Nr 3

poleca Skórzaną galanterię i przybory podróżne.



Lekarz
dentysta

STEFAN ŻYCZKOWSKI

NOWOGRODZKA № 26
Telefonu 167.49.



Wyprzedajemy z dawnych zapasów

5,000 gąsiork. wina węg.

wytrawnego, średniego lub słodkiego
po wyjątkowej cenie rub. 1 kop. 20.
Dostawa 15 gąsiorków franko.

Skład Win i Koniaku

Braci KEMPNERÓW

Długa Nr 5. Telefonu Nr 772.

FORTEPIANY, PIANINA, PIANOŁE
ORGANY, MELODYKONY
GEBETHNER i WOLFF
Warszawa. Krak.-Przed. 17

J. MIECZKOWSKI, Fotografia
Marszałkowska III. Telefon 16.81.

NESTLE



MAZKA MLECZNA

IDEALNY POKARM

dla niemowląt i dla dorosłych,
dotkniętych chorobą żołądka.

**GABINET ŚWIATŁOLECZNICZY
D-ra ROBER. BERNHARDTA**

ordynatora szpitala św. Łazarza

WARSZAWA, FOKSAL 15. TELEFON 14.74.

Leczenie chorób skóry i włosów promieniami Rentgena, Finsen-Kromayer'a, Radium i elektrolizą. Choroby weneryczne.

**HENRYK MICHAUX
LEKARZ DENTYSTA**

Warszawa, Foksal Nr 15. Telefon 69-80.

Bracia ŁOPIEŃSCY POLECAJĄ BRONZY SALONOWE I KOŚCIELNE MAGAZYN KRAKOWSKIE PRZEDMIEŚCIE Nr 15 Tel. 21.90

Redaktor: Dr JÓZEF WOLFF

Wydawcy: GEBETHNER I WOLFF

Redaktor przyjmuje we czwartki i piątki, od godz. 1 do 2.—Rękopisów pomniejszych i materyałów rysunkowych, nadesłanych do redakcji, nie zwraca się

Druk Piotra Laskauera i S-ki, Warszawa.